NASZA SKARBNICA

Uwagi, przykłady i opowiadania dla rodzin katolickich.

Rocznik III.

(Za rok 1909).

Kraków.
Nakładem X. M. Dziurzyńskiego.

Cena 1 Korona (w Niemczech 1 Marka).
Do nabycia w Wydawnictwie „NASZEJ SKARBNICY"
w Krakowie ul. Powiśle l. 12.
1909.

Wydawca: ks. Marceli Dziurzyński.

Czcionkami drukarni „Głosu Narodu“ w Krakowie.

Najpewniejsza droga do majątku.

Skarżą się powszechnie ludzie, że przy dzisiejszej ogólnej drożyźnie nietylko niepodobna dorobić się czegoś, ale nawet wyżyć trudno, tembardziej, że równocześnie z drożyzną wzrastają także różne podatki, które wszystkim dają się dotkliwie odczuć, a zwłaszcza klasie średniej i ludowi.

A przecież każdy człowiek powinien nie tylko dostosować swoje wydatki do dochodów, ale nadto odłożyć sobie jakąś sumkę na „czarną godzinę", aby na starość, w razie choroby, lub jakiego nieszczęścia nie potrzebował oglądać się na łaskę i litość drugich.

Jakimże tedy sposobem można się dorobić i zapewnić sobie starość bez troski i kłopotów? Jedynym i najpewniejszym środkiem do tego jest umiejętna **oszczędność**, czyli ograniczanie się w swoich koniecznych wydatkach i codzienne odkładanie pewnego kapitału na czas późniejszy.

Jak i na czem należy oszczędzać o tem właśnie poucza niniejsza rozprawka.

I. O koniecznej potrzebie oszczędności.

My Polacy mało mamy zmysłu oszczędności. Większa część z nas żyje lekkomyślnie z dnia na dzień, goni za zabawą i nie odmawia sobie wielu przyjemności. Wszyscy prawie grzeszymy rozrzutnością, jedni w większym, drudzy w mniejszym stopniu.

Nawet w czasach, kiedy Ojczyzna nasza chyliła się już ku upadkowi, kiedy się zbliżał jej rozbiór i wtedy jeszcze przodkowie nasi tak hulali, że powstało przysłowie „za króla Sasa, jedz, pij i popuszczaj pasa«.

I dziś w nas nie inaczej. Pijaństwo, hulatyka, gra w karty, niejednego już pozbawiły ziemi odziedziczonej po ojcach, niejednego urzędnika, rzemieślnika i wieśniaka zrobiły nędzarzem.

Uczmy się więc oszczędności, bo to jedyny środek naszego ratunku i jedyny sposób dojścia do lepszej doli. Naśladujmy w tem Niemców, których charakterystyczną cechą jest właśnie oszczędność.

Cnotę oszczędności wpaja już matka swemu dziecięciu, skoro tylko przyjdzie do używania rozumu. Otóż daje mu osobną skarbonkę do zbierania oszczędności, w którą dziecko składa wszystkie pieniądze, jakie bądź to od rodziców, bądź od krewnych lub obcycb otrzyma.

A gdy dziecko uzbiera większą kwotę, wtedy matka kupuje mu za to książkę lub ubranie. To też dziecko takie przyuczone od najpierwszych lat do oszczędności, z pewnością nie trwoni później pieniędzy i nie tylko dorabia się gdy dorośnie, ale nadto zaoszczędza kapitał na czas późniejszy i dlatego to u Niemców niema takiej biedy, jak u nas.

Trzeba więc nam koniecznie uczyć się oszczędności, choćby u wrogów naszych, trzeba dzieci od maleńkości do oszczędności nakłaniać.

Nie jeden powie na to: jestem Bogu dzięki zdrów i pracy się nie boję i będę miał z rąk pracy dostąteczne utrzymanie do śmierci. Prawda, że człowiek chcący pracować, pracę znajdzie, choć i to nieraz z trudnością, ale przezorny człowiek powinien stale pamietać o przyszłości.

Rozmaite są nawiedzenia Pańskie. Choroba nieraz i w kwiecie wieku człowieka na długi czas przykuwa do łoża, nieszczęśliwy wypadek czyni go nieraz na zawsze niezdolnym do pracy, a wreszcie trzeba też i liczyć na nieprzewidziane wypadki, np. wojnę, głód, drożyznę i t. p., a przedewszystkiem trzeba pamiętać o starości swojej.

Aby zaś módz uciułać jaki taki kapitalik na swe nieprzewidziane wypadki i na starość, trzeba zacząć oszczędzać.

Przedewszystkiem powinien każdy czy to urzędnik, czy rzemieślnik, czy wyrobnik, czy gospodarz prowadzić osobną książkę do zapisywania dochodów i rozchodów. W takiej książce należy pilnie zapisywać każdy dochód i stratę i nawet najmniejszy wydatek. Hasłem które na początku książki wypisywać należy powinno być: „Pamiętaj rozchodzie żyć z dochodem w zgodzie!“. To znaczy, nie trzeba robić większych wydatków jak dochód, czyli nie robić długów.

Z początku niezawodnie niejednemu prowadzenie takiej

książki trudności będzie sprawiało, z czasem jednakże tak się do tego przyzwyczai, że z wielką przyjemnością notować będzie każdy przychód i rozchód. Z końcem zaś roku każdy umiejętny gospodarz domu ustawiać będzie swój bilans, czyli porównywać będzie dochód całoroczny z rozchodem. Przy tej sposobności zauważy z pewnością pewne braki w prowadzeniu gospodarstwa swego i ztąd wyciągnie odpowiednią naukę na przyszłość. I postanowi sobie ograniczać się w przyszłości, aby niepotrzebnych wydatków nie robić.

Po obliczeniu dochodu i rozchodu i porównaniu obydwóch powinna w kasie umiejętnego i oszczędnego gospodarza domu pozostać jeszcze gotówka. Będzie to czysty zysk i owoc całorocznej i umiejętnej gospodarki. Będzie to pierwsza oszczędność choć może mała, którą powinno się odłożyć. Dalej pójdzie już łatwiej. Ambicya sama pcha człowieka, który już cośkolwiek zaoszczędził, aby i dalej ciułał, a po kilku latach rozumnej i oszczędnej gospodarki zbierze kapitalik, który w nieszczęśliwem położeniu bardzo się przydać może.

Podobnie jak gospodarz domu, tak i gospodyni domu powinna prowadzić książkę swoich dochodów i rozchodów. Dużo zaś można zaoszczędzić w domowem gospodarstwie, zwłaszcza przy zakupnie artykułów spożywczych. Roztropna gospodyni powinna znać źródła, gdzie się kupuje najtaniej towar dobry i tam zaspokajać wszystkie swoje potrzeby domowe.

Tutaj atoli powinny nasze gosposie o tem pamiętać, że nie wszystko, co na pozór jest tanie jest też i dobrem, owszem zwykle towar tani, bywa w rzeczywistości drogim, bo jest zazwyczaj lichym.

Odnosi się to przedewszystkiem do taniości towarów kupowanych u żydów. Żyd wiedząc z góry, że kupujący lub kupująca będzie się targowała, postawi na umyślnie odrazu cenę wyższą, aniżeliby ją postawił kupiec katolicki, a potem niby z łaski opuszcza, zaklinając się na wszystko w świecie, że opuszcza tylko dlatego, by odbiorcy nie stracić.

Większa część kupujących nie poznaje się na tem oszukaństwie żydowskiem i stale w żydowskich sklepach kupuje. Nie da się zaprzeczyć, że czasem można i u żyda kupić dobry towar, ale chrześcijanin katolik nie powinien chodzić do żyda, jeżeli w tej miejscowości, lub w pobliżu sa sklepy chrześcijańskie.

W sklepie chrześcijańskim ceny towarów są na pozór nie-

kiedy wyższe niż w sklepach żydowskich, ale za to towar rzetelniejszy, pewniejszy, a waga i miara prawdziwe.

Oszczędna gospodyni woli robić zakupy w sklepie chrześcijańskim, bo tu nie będzie oszukaną ani w towarze, ani na miarze lub na wadze, a to jest także oszczędnością.

Niejedna niestety nie dba o to gdzie i jak kupi, bo płaci za towar z kieszeni męża, a kupując źle, krzywdzi męża i dzieci.

Rozrzutna gospodyni może swojego męża do nędzy doprowadzić, bo co on w dom wniesie, to ona wyniesie. A w gospodarstwie domowem tyle jest sposobności do marnotrawstwa! Jeżeli np. w domu panuje nieład i nieporządek, jeżeli gospodyni nie dba o czystość i schludność, to nietylko meble i sprzęty, ale i wszystkie przedmioty i przybory domowe wnet się zniszczą tak, że potrzeba kupić na ich miejsce nowe, a to jest marnotrawstwo. Przeciwnie zaś, jeżeli się w domu utrzymuje porządek i czystość, wszystkie przedmioty dłużej się zachowują i to jest oszczędność.

Gospodyni oszczędna codzień starannie zamiatać będzie swoją izdebkę i ścierać regularnie kurz ze sprzętów i przyborów domowych, prać w swoim czasie bieliznę i t. d., słowem starać się będzie o wzorowy ład i porządek w domu.

Nadto taka gospodyni dzieci też swoje przyzwyczajać będzie do tego porządku i wyrabiać w nich praktyczny zmysł oszczędności tłumacząc im znaczenie i wartość pieniędzy i ganiąc wszelkie trwonienie otrzymanego grosza.

Dziecko w ten sposób do oszczędności przyzwyczajone, gdy dorośnie z pewnością pieniędzy trwonić nie będzie na zbytki, stroje, na grzeszne zabawy, bo wie, ile potu zawisło na każdej monecie i jak mozolnie trzeba pracować, aby ją zarobić.

Gdyby tak wszystkie matki dzieci swoje do oszczędności napędzały, niezawodnie młodsze pokolenie byłoby lepsze od starszego i nie byłoby obawy, aby potem grosz trwoniło. Kto pieniądz uszanować umie, kto nauczył się oszczędności, ten stroni od grzesznych uciech i zabaw i nie naraża swej duszy na zgubę wieczną.

II. Na czem oszczędzać?

Widzieliśmy, w jaki sposób możemy zacząć oszczędzać. Nie zawadzi teraz wykazać na czem można oszczędzać, czyli

w czem głównie wypada nam ograniczać nasze wydatki, aby, coś uciułać.

Nie możemy tu wyliczać wszystkich poszczególnych przypadków, w których potrzebne byłyby większe oszczędności, podamy tu tylko ku rozwadze Sz. Czytelników kilka szczegółów na które najwięcej wydajemy, a które przyczyniają się do naszej ruiny majątkowej.

Na pierwszym miejscy kładziemy: u b i ó r.

Rzecz oczywista, że kiedy uczciwy człowiek powinien zwłaszcza w niedziele i święta być przyzwoicie ubrany — atoli przepych i zbytek w strojach i ubiorach zakradł się do wszystkich stanów. I dziś, każdy sadzi się na to, aby się ubierać jak to mówią — po pańsku. Widząc przed sobą człowieka tak ubranego, trudno poznać, czy to pan, czy sługa, czy to człowiek majętny, czy biedny, czy to pani, czy służąca. Każdy ubiera się jak najlepiej, bez względu na to, czy dochód jego na zbytki w ubiorach mu starczy, lub nie.

Wieśniacy, zwłaszcza młodsi, i ci, co już na »Saksach« byli, wstydzą się dziś swej pięknej sukmany, a za to ubierać się usiłują jak panowie z miasta. Naśladują panów, wdziewają jakieś tandetne ubrania, w których wyglądają jak prawdziwe dziwolągi, bo ani po pańsku, ani po chłopsku, a d r o g i e to, bo takie ubranie prędzej daleko się niszczy niż strój wiejski i trzeba je co trochę sprawiać. Mówią ci wieśniacy, którzy się tak stroją, że z oszczędności to robią, bo strój wiejski dziś drogi, tymczasem rzecz się ma przeciwnie, bo w stroju wieśniaczym, gdy się go szanuje daleko dłużej się chodzi, niż w tandecie półpańskiej, a przez to zaoszczędza się na ubraniu.

Trochę lepiej jest pod tym względem u n i e w i a s t i d z i e w c z ą t polskich, bo te przeważnie zachowują swój piękny strój wieśniaczy, ale i w tem nieraz szukają zbytku, a niektóre zaczynają na podobieństwo mężczyzn stroić się też na wzór pań i panien z miasta, przez co dużo tracą grosza, i na śmiech się wystawiają. Daleko lepsze wrażenie robi dziewczyna lub niewiasta wiejska w swym stroju wieśniaczym, aniżeli przebrana po miejsku, w czem jej wcale nie do twarzy.

Szczególnie lubią się dziś po pańsku ubierać s ł u ż ą c e po miastach. Na suknie, na kapelusze, parasolki i buciki pańskie, wydają cały swój dziś wcale dobry zarobek, całą nieraz zasługę i udają panie!

A przecież daleko lepszy pożytek niż z ubierania się pańskiego, miałyby ze składania zarobionych pieniędzy w kasie, bo po pewnym czasie mogłyby sobie zebrać sporo grosza, któryby się im przydał czy to przy wyjściu za mąż, czy na późniejsze lata i na czarną jaką godzinę.

I nie tylko sługi grzeszą w miastach niepotrzebnem strojeniem i przebieraniem się za panie — ale tak samo, a raczej jeszcze więcej grzeszą tu strojeniem się żony i córki małomieszczan i rzemieślników, które są nieraz daleko biedniejsze od włościanek, a strojami chcą dorównać paniom wielkomiejskim.

Także i panie z miast, zwłaszcza żony urzędników lubią się zbyt kosztownie stroić, przeć co mężów swych wpędzają w długi i sprowadzają biedę na całą rodzinę. Gdyby żony i córki urzędników mniej wydawały na stroje — nie byłoby w tym stanie tyle biedy, i pensya prędzejby wystarczyła na życie — a nadto z pewnością dałoby się choć trochę grosza zaoszczędzić.

Moda w stroju niewiast często się zmienia, a że każda niewiasta, mężatka czy panna chciałaby się modnie ubierać, więc mężatka nagabywa męża, córka rodziców, by jej to lub owo kupili, a ci ulegając namowom, wciąż rujnują się zupełnie.

Więcej jeszcze jak na zbytek w strojach, wydają ludzie pieniędzy na wesela, chrzciny i pogrzeby, i nne uroczystości familijne.

W mieście każdy rzemieślnik i robotnik musi do ślubu jechać jeżeli nie dwukonną karetą, to jednokonną dorożką Najmuje się także karety i dorożki dla gości weselnych. Ubiór pana młodego nowiuteńki, oczywiście jeszcze nie zapłacony, a suknia pani młodej elegancka i kosztowna.

Lecz to jeszcze za mało. Lwia część wydatków idzie na podejmowanie gości, których młode państwo sprasza bez liku. Leje się jeżeli nie wino, to piwo i wódka obficie, a potrawy sute i obfite.

I na cóż ten zbytek? Czy nie lepiej zamówić skromny ślub, nie zapraszać tak dużo gości i wyprawić skromne wesele? Czy nie lepiej złożyć w ten sposób zaoszczędzone pieniądze na czas późniejszy, na nieprzewidziane wypadki?

Podobny zbytek przy weselach napotykamy i na wsi. Gospodarz wydający swą córkę za mąż, nie szczędzi żadnego

wydatku, aby tylko przed drugimi się popisać. Często takie wesele kosztuje 200, a nieraz i 600 koron. Jak zwykle przy napiwku głowa się zakręci, człowiek traci rozum, zaczyna burdę, od słowa do słowa i przychodzi do bójki, a potem do procesów, nie rzadko nawet do kryminału. Po weselu takiem zamiast szczęścia następuje płacz i zgrzytanie zębów, zamiast pożycia zgodnego zaczynają się kłótnie i bijatyki.

Narody cywilizowane takich wesel nie urządzają, zresztą niech sobie robi kto chce i jak chce; ale nam Polakom nie wolno tak robić, — my musimy się uszczuplać, jeżeli nie mamy zginąć z głodu.

Z taką samą rozrzutnością odbywają się po większej części we wszystkich stanach chrzciny. I tu możnaby nie jedno zaoszczędzić, prosząc mniejszą liczbę gości i nie sadząc się na zbytki w jedzeniu i piciu.

Więcej daleko wydaje się z okazyi pogrzebów. Wszelka pompa przy pogrzebach jest zbyteczna, jeżeli się zważy, że nieboszczyk żadnej korzyści z niej nie ma, bo jej nawet nie widzi. Jemu obojętną jest rzeczą, w jaką go złożą trumnę, i czy go powiozą na karawanie, czy go zaniosą na barkach do grobu, czy stoi w kościele, czy go wprost złożą do ziemi.

Na cóż tedy takie wydatki na pompę pogrzebową? Czyż nie lepiej będzie — jeżeli się pogrzeb odbędzie zupełnie skromnie, a natomiast da się jałmużnę lub zamówi się Msze święte za dusze nieboszczyka? Zapewne, że to drugie daleko lepsze i dla nieboszczyka i dla pozostałej rodziny, bo pociąga za sobą daleko mniej wydatków niż okazałość pogrzebowa.

Kosztowniejszą jeszcze od samego pogrzebu jest stypa pogrzebowa, czyli sute podejmowanie gości po pogrzebie. Te uczty pogrzebowe nie mają żadnego sensu, żadnego celu i dlatego w miastach w klasie inteligencyi po pogrzebie stypy niema. Goście pogrzebowi rozchodzą się z cmentarza do domów swoich. Tylko jeszcze u rzemieślników i wyrobników stypy urządzają, a najczęściej po wsiach, gdzie stypy pogrzebowe jak na przykład, na Rusi, trwają nieraz po kilka dni.

Takie atoli uczty wstręt budzą i są pogańskie, bo przecie nie jest to wcale po chrześcijańsku, aby goście i uczestnicy pogrzebu oraz rodzina zmarłego bawili się, pili i jedli jakby z radości, że jednego z pośród siebie pogrzebali.

Każda taka stypa kończy się pijaństwem, i ci sami, któ-

rzy przed kilku godzinami płakali nad grobem, cieszą się potem i bawią, zapomniawszy o wszystkiem. Tak nie powinni robić chrześcijanie — takie uczty są czysto pogańskiemi ucztami — i już raz ustać powinny zupełnie, bo powodują niepotrzebne wydatki i przynoszą wstyd tym, co takie uczty urządzają i tym, co w nich udział biorą.

Dalszym wrogiem, i to wielkim wrogiem oszczędności jest pijaństwo.

W niedziele i święta niema dla niejednego przyjemniejszej zabawy, jak przy kieliszku w szynkowni. Tam pozostawia rzemieślnik, robotnik i urzędnik ciężko zapracowany grosz, tak, jak go łatwo traci w każdy dzień w piwiarni lub winiarni urzędnik, profesor i inny inteligentnik.

Tam, w szynkowni rujnuje się niejeden zupełnie, a w domu bieda! Płacze biedna żona i dzieci, bo głód cierpieć muszą, bo mąż i ojczulek cały swój majątek przepija. Wskutek tego niezgoda w domu, kłótnie, bijatyki, istne piekło!

Nieraz poczciwa żona idzie do karczmy lub szynku szukać swego męża i prowadzi go stamtąd pijanego; a jeżeli nie pójdzie po niego — jeżeli sam powraca, natenczas pada w pierwszym lepszym rowie i pogrąża się w sen głęboki.

Oj, smutny i bolesny to widok, kiedy się widzi w niedziele i święta naszych chłopków lub robotników, powracających do domu, pijanych „jak cztery dziewki“, lub wyśpiewujących bezwstydne piosenki i wykrzykujących na całe gardło na drodze i zaczepiających przechodniów.

I pijakowi samemu wiele szkodzi pijaństwo, bo go na śmiech i wstyd wystawia wobec drugich, a nadto jest trucizną dla zdrowia człowieka.

Pijaństwo bowiem szkodzi trawieniu, wywołuje powolne zapalenie żołądka i wątroby, dalej wodną puchlinę, wycieńczenie, suchoty a nieraz i paraliż. Nadmierne używanie trunków odbija się też na mózgu, sprowadza często szał, rujnuje doszczętnie zdrowie i przyspiesza śmierć, a nieraz jest przyczyną nagłej śmierci.

Pijaństwo wreszcie jest pobudką do wielu grzechów i zbrodni. Pijak nie uznaje żadnego przykazania; — pod wpływem trunków staje się zawadyaką, sprzecza i bije się byle z kim, o byle co — i wogóle pijak jest zdolny do wszelkiej zbrodni.

Wreszcie pijaństwo naraża pijącego na wielkie straty ma-

teryalne, bo pijak zaniedbuje swoje obowiązki, opuszcza pracę i zarobek, a traci równocześnie pieniądze na trunki. Przypuśćmy, że pijak traci tylko raz na tydzień w sobotę i niedzielę po 2 lub 3 korony — to w roku przepija co najmniej 150 koron — a przecież są pijaki, którzy codzień przepijają 1 lub 2 nawet korony — więc po kilku latach tracą setki i tysiące koron, z których gdyby je do kasy złożyli, mieliby po kilku latach ładną sumkę.

O ile więc bogatsi byliby nasi rzemieślnicy, robotnicy wieśniacy i urzędnicy — gdyby się wyrzekli trunków — a grosz składali do kas. Miliony koron zostałyby w ich kieszeniach i cały kraj podniósłby się i zbogacił.

III. Inni wrogowie oszczędności.

Z pijaństwem idzie często w parze gra w karty. I ta namiętność jest także dziś rozpowszechnioną nie tylko po miastach, ale nawet już i po wsiach niektórych,

Gra w karty odbywa się po większej części w szynkowniach, a więc gracz ma potrójną okazyę do wydania pieniędzy: najprzód na trunki, bo przy kieliszku lepiej się gra, powtóre na cygara i papierosy, a w końcu na przegranie i zapłacenie poczęstnego za swoich kompanów,

Gra w karty może być wprawdzie i nieszkodliwą zabawką, jeżeli mianowicie gra się w drobne sumy i nie na to, żeby wygrać, lecz żeby się zabawić, Atoli ta z początku niewinna zabawka niekiedy z czasem wyrabia się w namiętność, którą tak jak pijaństwo i inne namiętności poskromić trudno. Niejeden zaczął grywać z początku tylko dla zabicia czasu, ale powoli stał się namiętnym graczem. Grał potem, ile razy miał do tego sposobność, ryzykował duże stawki — i przegrywał.

Wogóle więc lepiej nie grać w karty, bo szkoda czasu na taką niebezpieczną a kosztowną zabawkę, i szkoda pieniędzy. Lepiej ten czas obrócić na czytanie jakiej pożytecznej książki lub gazety, a pieniądze na grę przeznaczone schować, a po czasie zebrać można kwotę pokaźną i dać ją do kasy.

Wiele też pieniędzy wydają ludzie niepotrzebnie na palenie tytoniu. Były czasy, kiedy tytoń jeszcze mało był znany, a palenie było surowo zakazane. W Rosyi istniało przed kilku wiekami prawo, według którego palaczom ucinano nosy.

Dziś inaczej. Kary nałożone niegdyś za palenie zniesione, a zwyczaj palenia stał się dziś ogromnie »modnym«, no i ogromnie przy tem szkodliwym tak dla kieszeni, jako i dla zdrowia ludzi.

Palenie tytonin stanowczo szkodzi człowiekowi, zwłaszcza w młodym wieku. Tytoń zawiera truciznę, zwaną »nikotyną«, która działa na żołądek, utrudnia trawienie, a nadto osłabia serce, źle też wpływa na wzrok i pamięć, przez co podkopuje zdrowie człowieka i skraca mu życie.

Prócz tego tytoń i papierosy pochłaniają wreszcie znaczne sumy. Gdyby każdy palacz obliczył ile wydaje rocznie na tytoń, samby się zdziwił, że tyle pieniędzy wydaje na własną szkodę, na własne nieszczęście, na skrócenie swego życia!

Odzwyczajajmy się tedy od palenia, a oszczędzony grosz odkładajmy na czas kiedy nam najbardziej będzie potrzebny. Lepiej przecież taki zaoszczędzony z niepalenia grosz złożyć dla dzieci swoich, lub ofiarować na jaki cel szlachetny — niż kupować tytoń. palić go, i zobijać siebie samego.

Jeżeli więc posłuchamy rad wyżej podanych i zaczniemy oszczędzać się w wydatkach na stroje, na śluby, na huczne wesela i pogrzeby — gdy przy tem zarzucimy tytoń i karciarstwo — wtedy z pewnością przybędzie każdej rodzinie grosza, zwiększy się jej zamożność — a gdy w rodzinach będzie zamożność — to i cały naród będzie bogatszy i zniknie bieda, która nas tak gniecie!

Od nas więc samych głównie zależy. abyśmy się pozbyli nędzy, a doszli do jakiego takiego majątku. Najpewniejszą zaś drogą — jak wykazaliśmy w tej rozprawce — jest oszczędność zwłaszcza w wydatkach na rzeczy niepotrzebne, zbytkowne lub modne!

Pocieszycielka strapionych.

(Opowieść z czasów napadu Tatarów na Polskę).

Allah-hu! Allah-hu! Bracia na konie!...

— Już dymią zgliszcza pożarów, w gruzach leżą wioski i sioła, ręka nasza dokonała zwycięstwa...

— Bogaci zdobyczą, unosimy srebrne lampy, złote kielichy, krzyże rubinami i dyamentami wysadzane, mitry i pastorały biskupie, skarby kościelne i wielu niewolników.

— Teraz zwróćmy się na wschód do Krymu, gdzie rośnie kukurydza. gdzie szumią pomarańczowe gaje, tam rozdzielimy nasze łupy... Han weźmie jeńców pojmanych, pastorał biskupi stanie mu za berło, mitrą uwieńczy swe czoło... nam da tarcze i przyłbice, a gronostajne szaty, perłowe naszyjniki i bransolety będą dla naszych kobiet...

— A gdy znowu zechcemy złota, srebra, zdobyczy, puścimy się wstepy znaną Tatarską drogą, złupimy tę bogatą Polskę, zburzymy zamki i kościoły a lud uprowadzimy w niewolę. Allah-hu!... Dalej w drogę!

I najezdnicze hordy z półksiężycem i zieloną chorągwią na czele zdążają ku wschodowi, zostawiając po sobie rzeki krwi stosy trupów, zgliszcza i popioły...

Ileż to razy dzicz tatarska jak stada sępów rzucała się na spokojne ziemie polskie siejąc mordy i pożogi?... Europa o tem nie wiedziała, w inną patrzyła stronę, ale wiedzieli dobrze mieszkańcy Ukrainy i Podola, ci mężni rycerze, którzy przez tyle wieków barbarzyńskie hordy piersią swoją odpierali!...

Co pięć czy co dziesięć lat widziano na horyzoncie czarną chmurę od wschodu, i dzikie krzyki jak huk piorunów, jak świst uraganów rozlegały się w powietrzu... Dalej widniały zielone turbany, maczugi, tatarskie łuki... a wtedy w mieście czy na wsi, w pałacu czy w wiosce słyszano tylko jęki i wołania;

— Tatarzy! Tatarzy napadają! Boże zmiłuj się nad nami!

Na ten głos kapłani biegli do ołtarzy odprawiać Msze św., żołnierze spieszyli do broni, matki ściskały w objęciach swe dziatki, małżonkowie się rozdzierali, i nie było już spokoju ni szczęścia, ni nadziei!...

Wszyscy bronili się jak mogli; jedni orężem, drudzy modlitwą, nieraz dał Pan Bóg cudowne zwycięstwo, jak i za czasów świętej Kunegundy w walnej bitwie pod Piętą, gdzie widziano walczących dwóch rycerzy szkarłatych, świętych braci męczenników: Gerwazego i Protazego; gdzie najezdnicze hordy na głowę pobite i zgromione zostały.

Ale i to bywało, że siła napastników przemogła męztwo walecznych! a wtenczas po krwawych zapasach zamki leżały w gruzach, miasta w płomieniach, mieszkańcy pobici lub w niewolę zabrani.

Taki był los miasta i zamku Ostrogskiego, zniszczonego, przez Tatarów na początku pietnastego wieku.

W obwodzie grubych murów, które nie łatwo obalić, ogień pożera drewniane domy, a jaskrawe płomienie i kłęby czarnego dymu w znoszą się w obłoki... Ulice puste. trupy zalegają pola... zaledwie tu i ówdzie jaki mieszkaniec uszedłszy rzezi i pożogi wychodzi z kryjówki, drżący w niemej boleści na widok spustoszenia i śmierci...

Tymczasem dzikie hordy barbarzyńców, ohydnych, pijanych, uchodzą ze zdobyczą, unosząc zrabowane skarby, bogate jedwabie, złote naczynia kościelne i niewolników wybladłych, na pół żywych z sobą uprowadzając. Niektórym wszakże dostojnym więźniom, kiedy się spodziewali za nich drogiego okupu, dozwalali konia lub lektyki.

W liczbie tych nieszczęśliwych była młoda niewiasta, księżna Konstancya Ostrogska. Mąż jej poległ w obronie ojczyzny, zamek leżał w gruzach, został tylko przy niej pięcioletni synaczek, który tuląc się do łona matki pytał ją z płaczem:

— Mamo! mamo! dokąd my jedziem?

Księżna Konstancja zadrżała; rzuciwszy tęsknem okiem na puste stepy i na błękit nieba:

— Bóg tylko wie, moje dziecię, odpowie z boleścią...

— Czy nie wrócimy wieczorem do pałacu?

— Nie mamy już pałacu.

— Jeżeli nie wrócimy, co tato powie?

— Niema już taty.

— Niema taty? A gdzie tato? Jeszczem go dziś rano uściskał.

— Ojciec twój umarł...

— Umarł!... To znaczy, że poszedł do Pana Boga... Nie prawdaż mamo?

Dzięcię zamilkło zdziwione boleścią matki, lecz po chwili pyta znowu:

— Mamo gdzież jest moja siostrzyczka? — niema jej tu; czy i ona poszła do Pana Boga?

— Kiedyśmy wyjeżdzali widziałem ją na ręku piastunki, która idzie tam daleko z innemi kobietami. Nie mogę jej teraz zawołać, ale gdy zatrzymamy się na noc, dam Tatarom ten pierścień i poproszę, żeby pozwolili ją wziąść. Alinka będzie tu z nami.

Biedna matka zakryła rękami twarz, modląc się w duchu oddając siebie i dziatki w ręce Opatrzności... a chłopczyna znudzony jej milczeniem, złożywszy główkę na poduszkach lektyki, usnął ze łzą błyszczącą na różowem liczku.

W godzinę potem księżyc zajaśniał, pierwsze gwiazdy ukazały się na niebie, hordy barbarzyńskie zatrzymały się na nocny spoczynek. Rozpięto namioty, zapalono ognie. Jeden z Tatarów zbliżył się do lektyki pytając czy księżna nie chce jakiego posiłku.

— Nic nie chcę, odrzekła, tylko pozwólcie mi tu wziąść moją córeczkę, rodzina moja zapłaci wam za nas ile zechcecie. Ona musi być z młodą kobietą, która się nazywa Horpina-Burko, idzie tam w gromadzie z innemi. Patrz, oto pierścień dyamentowy, tyle wart co kilka wiosek, dam ci go jeżeli mi przyprowadzisz piastunkę mego dziecięcia.

Tatar spojrzawszy z podziwieniem na księżnę, z chciwością na pierścień błyszczący tęczowym ogniem, mrucząc coś na znak zgody, zwrócił się ku gromadzie więźniów.

— Dzięki Bogu! zawołała biedna matka. Człowiek ten zlitował się nademną; dziecię będzie przy mnie...

W rzeczy samej rychło przy świetle ognia świecącego w obozie, księżna ujrzała Tatara prowadzącego wiernego sługę.. i wyskakując z lektyki, z sercem bijącem wyciąga ręce ku miłej dziewczynie... gdy nagle krzyknie z boleścią...

— Horpina nie ma dziecięcia!...

— Ach Pani! przysięgam na duszę moją, żem nie straciła panienki... Około drugiej z południa, kiedy najsroższa była bitwa, książe przysłał swego wiernego Grzegorza po Alinkę, i oddałam mu dziecię, myśląc że ją chcecie ukryć abo z nią uchodzić... Od tego czasu nikogom nie widziała; mniemałam, żem ja jedna dostałam się w niewolę.

Ale księżna zaledwie tych słów dosłyszala, przeszyta nową boleścią jak śmiertelnym ciosem, upadła na ziemię bez przytomności... Członki jej stężały i ostygły, śmiertelny pot okrył je czoło... Złożono ją na powrót do lektyki i Horpina została przy niej.

Zaledwie o świcie otworzyła oczy. Wtedy podnosząc się nieco, kazała przynieść synaczka do siebie:

— Kazio mój, Kazio! rzecze tuląc go do serca i ja także umrę! pójdę do Pana Boga... Ojciec twój i siostrzyczka wołają na mnie... Ty jeden zostaniesz z tymi dzikimi, czarnymi ludźmi, których się tak boisz... Serce moje pęka z boleści na myśl rozstania się z tobą, i umarłabym w rozpaczy, gdybym nie była pewną, że ci zostawiam drugą matkę... Ty nie będziesz jej widział mój Kaziu! ale ona z góry z po za obłoków będzie zawsze czuwać nad tobą. To Matka Boska, Królowa Niebiańska, Marya! Ona rozumie boleść moją, bo ona także ma Syna Jezusa, który cię bardzo kocha. Uklęknij przy mnie drogie dziecię zmówmy: *Ojcze Nasz i Witaj Królowo;* to moja ostatatnia modlitwa... nieraz ją odmawiałam z tobą; pamiętaj każde słowo, synu mój, i tak módl się do Ojca Niebieskiego i do twojej nowej matki.

Kazio płacząc klęka, żegna się i powoli powtarza każde słewo... Ale głos umierającej matki słabnie widocznie... siły jej ustają — śmiertelna bladość pokrywa jej lica i wymawiając: Amen, piękna jej dusza cierpieniem oczyszczona ulatuje do nieba...

Biedne dziecię spłakane, z ziemi podniesione, Tatarzy starannie kładą do lektyki.

— Cóż z tą uczynimy? zapyta jeden z nich, wskazując na Horpinę, która w konwulsyach tarzała się po ziemi.

— Bah! ona w konaniu — niech tu sobie umiera... nie możemy chorych wlec za sobą...

— Tak wszystko załatwiwszy, wsiadają na konie — pędzą dalej... i biedne dziecię — sierota, — dziedzic książąt



Jezus jako lekarz chorych i pocieszyciel utrapionych.

Ostrogskich zdąża na wygnanie, zostawując ojczyznę w żałobie — zamek swój w gruzach, i grób matki pod dębem.

II.

Smutek i żałoba ludzka nie trwają wiecznie; czas osusza łzy, — czas goi rany. W Ostrogu także po odejściu Tatarów z gruzów dźwignięto zamek, świeża murawa pokryła pole zroszone krwią pobitych ofiar, i we dwadzieścia lat po nieszczęśliwych wypadkach któreśmy opisali, nowo odbudowane domy cisnęły się u stóp wysokiej góry, na której się wznosił książęcy zamek; a oczy wieśniaków i mieszczan ostrogskich zwracały się ku tym oszańcowanym murom, ku tym wysokim wieżom, bo tam żyły dwie jedyne istoty pozostałe z rodziny dawnych ich panów, — starzec i młoda dziewica.

Starzec ten był to Konstanty Ostrogski, stryj księcia Ostrogskiego poległego w bitwie z Tatarami. Mimo podeszłego wieku, białych włosów i wielu ran na wojnie odniesionych, książę Konstanty używał czerstwego zdrowia, był walecznym i mężnym, a nadewszysko czule przywiązanym do dziedziczki zamku, ukochanej swej wnuczki: Aliny.

Więc nie umarła miluchna dziecina, którą biedna matka tak gorżko opłakiwała!... Gdy w zamieszaniu bitwy stary sługa, któremu powierzono dzieweczkę, pewną kryjówką uchodził z nią do lasu, mniemał, że księżna z synaczkiem prowadzona przez innych sług za nim zdążała... i schroniwszy się do miasta Łucka, otoczonego pasem obronnych zamków, oddał dziecię w ręce krewnych jej matki. Tam Alinka wzrastała szczęśliwa i kochana, do ośmnastego roku, wtedy pod opieką dziadka zamieszkała w swym zamku.

Alinka malutką jeszcze była, kiedy krewni nieszczęśliwej księżnej Konstancyi posłali do chana tatarskiego wielki okup i bogate dary, prosząc o jej uwolnienie; lecz im odpowiedziano, że młoda matka umarła w drodze, a syn jej umarł rychło po przybyciu do Krymu. Tak z całej tej zacnej rodziny, mała sierota została jedyną dziedziczką zamku, przyległych włości i książęcej korony.

Młoda księżniczka Ostrogska w dwudziestej wiośnie życia była śliczną dziewicą. Żywa, wysmukła, biała blondynka; poddani ją czcili, opiekun kochał ją najczulej, wielu panów oko-

licznych ubiegało się o jej rękę, ale żadnego nie wybrała, używając jeszcze swobody... Trochę dumna, energiczna, wesoła, serce jej tylko ściskało się smutkiem na wspomnienie strasznego losu i bolesnej śmierci rodziców.

Ostatniego dnia sierpnia 14... r., Alinka z Horpiną, starą piastunką, niegdyś zostawioną w stepach, siedziała przy oknie w zamkowej sali. Położyła na stoliku włóczkową robotę, a wsparłszy głowę na ręku, wpatrywała się w krętą ścieżkę przerzynającą szerokie błonia. Długo milczała, a łzy płynęły jej po twarzy; nareszcie podnosząc głowę rzecze ze smutkiem:

— Więc tą drogą moja matka pojechała w niewolę!... Ach! musiała to być boleść niezrównana, w jednej chwili stracić wszystko!...

— Tak, panienko, i nie wiem jakem przeżyła te okropności... szłyśmy tędy powiązane, ja i wiele innych kobiet; a koło nas sami tylko Tatarzy czarni, okrwawieni, grożąc nam szablą, bluźniąc Chrystusa.

— I moja biedna matka była z tymi barbarzyńcami, — przerwała Alina drżącym głosem.

— Tak panienko! O! ileż ona cierpiała! Jednakże śmierć jej była bardzo lekka... Ona szczęśliwa poszła do Boga, ale biedny Kazio, którego oni porwali!... Mój Boże! widziałam go odjeżdżającego... kochany aniołek! wyciągnął do mnie rączeta, krzyczał, że chce położyć się i zasnąć przy Horpinie i przy matce, a te rozbójniki unieśli go!...

— Biedny braciszek! smutekgo zabił, — rzecze Alina ocierając z łez oczy. — Kiedy mój dziadek posłał wielkie pieniądze na wykupienie go, chan tatarski odpowiedział, że umarł zaraz po przybyciu do Krymu.

— Ach! panienko, czyż nie lepiej, że Pan Bóg wziął go do siebie? Cóżby z niego było, żeby się wyhodował u tych barbarzyńców? zapomniałby swego Boga i swego języka... Ach! kiedy ocucona przez wieśniaków przyszłam do przytomności, moja modlitwa była za to biedne dziecię, żeby matka Boska zlitowała się nad nim. Królowa Niebiańska pewnie mię wysłuchała i dlatego Kazio umarł.

— Niestety! wszyscy poszli do Boga, mnie jedną zostawili, rzecze Alinka ze łzami w oczach... Teraz tylko się modlić za nich, rozmawiać o nich, to moja jedyna pociecha.

— Dziś dwadzieścia lat, jak Tatarzy ukazali się tam na

stepach; przez cały tydzień oblegali zamek, ostatniego dnia szturmem go wzięli, a nazajutrz po uroczystości Narodzenia Matki Boskiej, kochana pani nasza umarła.

— I od tego czasu dzicz ta nie pokazała się więcej, rzecze Alina w zamyśleniu... Horpino, żeby oni jeszcze tu przyszli, wcale bym się ich nie bała... Walczyłabym z nimi, błagałabym Boga o zwycięstwo, a gdyby ani moje łzy, ani modlitwy nic nie pomogły, dałabym się zabić na czele sług moich!... Ja się nie lękam ich szabli ani ich włóczni... Bóg naszą ucieczką i pomocnikiem w uciskach, Bóg nas obroni!...

— Ach nie mówmy już o tych okropnościach... otrzyj łzy, panienko, oto książę dziadek twój nadjeżdża.

W rzeczy samej, stary książę z swoim orszakiem wjechał na zwodzony most i rychło ukazał się w sali. Zdawał się smutnym i zamyślonym... Alinka mniemając, że zmęczony z drogi potrzebuje posiłku i odpoczynku, kazała podać wieczerzę: jednakże postrzegła, że starzec zaledwo co wziął w usta, a troska nie ustąpiła mu z czoła. To też miłe dziecię siadając przy nim:

— Smutnyś mój stryjaszku, rzecze, biorąc go z czułością za rękę. Możeś cierpiący?

— Nie.

— Toś pewno niespokojny?

— Tak jest. Ale na cóż się zda mówić o tem młodej jak ty dziewczce? chyba gdy przyjdzie nieszczęście i będziesz musiała podzielać je z nami biedactwo?...

W tem nagle krzyknie i drżący zawoła:

— Boże ratuj nas! Patrz, Alino... Patrz!

Alina zbliżyła się do okna i z przerażeniem postrzegła straszną jaskrawą łunę rozciągającą się na horyzoncie i kłęby czarnego dymu wznoszące się w obłoki...

— Cóż to jest? pożar? rzecze przelękniona, tak ogromny, ktόż go zapalił?...

— Barbarzyńskie ręce, które zrabowały twą majętność i zakrwawiły kolebkę twoją... Tatarzy napadają! Już są niedaleko, o pięć mil od nas; oni to podpalili wioskę... Jutro tu będą... Boże ratuj nas!

— Stryjaszku, może oni nas zabiją, ale nie wezmą w niewolę! zawołała Alinka blada ze łzami w oczach.

— Co ty wiesz, biedne dziecię! Twój ojciec był młodszym

odemnie i równie walecznym, a jednak nie mógł przeszkodzić nieszczęściu... żonę jego zabrano w niewolę i zamek zniszczono... Tylko wołajmy z głębi serca do Boga: Panie ratuj nas, giniemy!! Ale trzeba wszystko urządzić, zebrać żołnierzy, postawić straż na murach... potem spoczniemy, może jutro nie będzie można...

I książę zebrał swą radę; obwarowano szańce, utwierdzono zwodzone mosty, naznaczono straż nocną... potem powoli, bramy się pozamykały, światła w zamku pogasły, i mieszkańcy Ostroga ostatnią noc spokojnie spędzili.

III.

Groźna to była, bitna i wyćwiczona horda, która w tym świeżym wrześniowym poranku zbliżała się pod mury Ostroga.

Nie sam naczelny wódz najezdników prowadził tą razą wojsko swoje. Chan tatarski dziewięćdziesięcioletni starzec dogorywał, syty władzy i łupieztwa; ale wiernym swym muzułmanom dał zastępcę swego, a barbarzyńcy przysięgli mu cześć i posłuszeństwo.

Nowy ten wódz był jeszcze młodym, ale już bardzo sławnym w hordzie z męztwa i waleczności. Nikt lepiej od niego nie umiał ujeździć dzikiego konia, nikt silniej nie naciągnął potężnego łuku i t. d. Widząc go jadącego pod chorągwią na pięknym arabskim koniu, z dyamentową kitką u zielonego turbana, z bogatą damascenką u boku, żołnierze z dumą nań poglądali, urągając chrześcijanom po drodze, grożąc im śmiercią i zagładą.

Wódz ten, Abdul-Beg, rozłożył się obozem nad rzeką Zwyteńką, płynącą u stóp góry, na której wznosił się zamek, zrozumiał on odrazu, że tak obronnej twierdzy nie może zdobyć orężem, zarządził więc oblężenie, aby głodem zmusić do poddania się; i tegoż wieczora mieszkańcy Ostroga z wysokości murów, ujrzeli miasto i zamek swój opasane mnóstwem szpiczastych namiotów; a później o zmroku zabłysły tu i ówdzie jaskrawe ognie, istne żarzyska piekielne, gdzie się roiły krocie strasznych szatanów.

Nazajutrz o świcie, na odgłos bębnów, trzydzieści tysięcy strzał z hukiem uraganu uderzyły na mury Ostroga; cała horda

tatarska rzuciła się groźnie wdzierając się na wały, oblegając szańce, gdzie wszczęła się rzeź okropna.

Po trzygodzinnej walce Abdul-Beg cofnął swe wojska, zostawiając pod murami twierdzy dwa do trzech tysięcy trupów: nie chcąc więcej rozlewu krwi, poprzestał na oblężeniu. Aby przeciąć wszystkie komunikacye, postawił straż na brzegach rzeki; w różnych kierunkach pływały po niej tatarskie łodzie, i rychło mieszkańcy Ostroga nie mając dostarczenia żywności, widzieli się zagrożeni głodem. Zabrakło chleba, a zarazem zgasła nadzieja ocalenia — odwaga i męstwo żołnierzy. W tej ostatecznej niedoli książę Konstanty z rozpaczliwą odwagą zarządził wycieczkę: i pewnego wieczora gdy księżyc skrył się za chmury, dwustu walecznych rycerzy z bohaterską odwagą poświęcając życie dla ocalenia braci wyszło cichutko z zamku, usiłując się przedrzeć do przyległej wioski dla dostania broni i żywności. Alina żegnała ich modlitwą i łzami, stary kapelan zamkowy błogosławił mężnych obrońców, ale to błogosławieństwo miało być ostatnie... żaden nie wrócił, wszyscy polegli od miecza barbarzyńców, lub rozpierzchli się w polu. Stary koniuszy Grzegorz dowodzący tą garstką walecznych, raniony i wzięty w niewolę, zaprowadzonym był do młodego wodza, żeby on sam miał przyjemność uciąć mu głowę. Ale się zawiedli barbarzyńcy... Abdul-Beg wzruszony był litością na widok szlachetnej postaci sędziwego starca.

— Wiele masz lat? zapyta go uprzejmie.

— Siedmdziesiąt pięć, odpowie waleczny rycerz; ze sto bitew widziałem i brałem w nich udział, dziesięć razy byłem raniony... śmierci się nie boję, bom dobrze użył życia.

— Nie chcę cię zabijać, starcze, rzecze Abdul-Beg, kłaniając się; mógłbym mieć dziadka w twoim wieku, i tak walecznego jak ty; nie chciałbym żebyś zginął z ręki młodzieńca. Zostań w mym namiocie, tu będziesz bezpiecznym; opatrzysz mego konia, oczyścisz broń, a gdy weźmiemy wasz zamek i miasto spalimy, pójdziesz ze mną na dwór starego chana.

Tak Grzegorz został tatarskim niewolnikiem, sługą barbarzyńcy, muzułmana... i nie raz myślał, czy nie lepiej śmiercią zakończyć tak nędzne życie... Ale sumienie chrześcijańskie wzdrygało się na to, i szlachetny rycerz poddał się woli Bożej; a łącząc krzyż swój z krzyżem Zbawiciela, znalazł ochłodę i spokój serca.

IV.

Pewnego dnia młoda księżniczka wyszedłszy z zamku przebiegała ulice oblężonego miasta. Biedna Alina, znać było, że wiele już ucierpiała! Głowa smutno pochylona, lice wybladłe, rzewna smętność rozlana na twarzy... bo już wszystko co było w domu: zboże, wino, zwierzyna, owoce, wszystko rozdała zgłodniałym; wszystko.. zostały jej tylko suknie adamaszkowe, perły, brylanty, próżne zbytki marności, które w tej chwili wydały się jej gorżką ironią...

Niestety! gumna jej, szpichlerze, spiżarnie rychło się wypróżniły, i gdy młoda księżniczka ukazała się wśród ludu, wszędzie widziała wybladłe twarze, łzy i jęki cierpiących.

— Nie mam chleba dla mego starego ojca, mówił pewien mieszczanin, klękając u stóp jej.

— Nie mam mleka dla moich dziatek, wołała z boleścią pewna matka.

— Postawiliśmy zapadki na szczury, ale gdzie niema zboża ni chleba, tam niema i szczurów; mówiło kilku znędznionych wieśniaków.

— Panienko daj nam chleba, daj nam miodu... Czyż nic nie macie w waszych piwnicach?

— Nie mam nic, drogie dziatki, tylko z wami płaczę i modlę się za was. Niech was Bóg wspomoże!

Łzy obfite płynęły z oczu biednej Aliny, gdy mówiła te słowa, a poczciwi wieśniacy widząc ją tak zbolałą, z uszanowaniem ręce jej całowali; niektórzy zaś wątpiąc potrząsali głową...

To też pomimo męstwa i rezygnacyi młoda dziewica z rozdartem sercem wróciła do zamku.

— Cóż ci to moje dziecię? zawoła stary opiekun, widząc ją tak bladą i smutną.

— Drogi stryjaszku, rzecze Alina, biorąc go z czułością za rękę, tylko w Bogu nadzieja nasza... Widzisz, że się dłużej bronić nie możemy, oręż wypada z rąk zgłodniałych żołnierzy; jeżeli nas Bóg nie wspomoże, wszycy zginiemy... Wołajmy więc do Boga o ratunek i gotujmy się na śmierć... Jutro wszyscy przyjmiemy Komunię świętą. Niech na wałach miasta wzniosą ołtarze, gdzie nasi zakonnicy Msze święte będą odprawiać, błagając przez Krew Chrystusową o miłosierdzie nad nami.

Pójdziemy także za procesyą śpiewając: *Salve Regina*, była to jakem słyszała, ulubiona modlitwa mojej matki. Królowa Niebiańska zlituje się i obroni nas... A jeżeli Tatarzy przeszyją nas strzałami, to umrzemy śmiercią świętych, u stóp Krzyża Zbawiciela i słodko spoczniemy w Niebie.

— Bądź błogosławiona, drogie dziecię, rzecze starzec zalany łzami! Bóg ci podał tę świętą myśl. Tak, prośmy o przyczynę Maryi, Ona wstawi się za nami do swego Syna; a gdyby dzień jutrzejszy miał być ostatnim naszego życia, poświęćmy go na chwałę Bożą.

I książę Konstanty wysłał gońca do kościołów i klasztorów miasta Ostroga, zawiadamiając wszystkich o tem co postanowiono.

Nazajutrz, gdy złote blaski wschodzącego słońca opromieniły jasne poranne niebo, dzwony wszystkich kościołów harmonijnym dźwiękiem zabrzmiały w powietrzu, głosząc wielki i święty dzień... Mieszkańcy Ostroga jednym duchem ożywieni, ołtarze Pańskie zdobią drzewami, kwiatami, wieńcami z zieleni. Na wieży zamkowej umieszczono obraz Boga-Rodzicy przystrojony w różne godła, napisy, jaśniejące kolorowemi lampami. Całe miasto ubarwiono w kwiaty, wieńce, flagi; tłumy wiernych cisną się do stóp kapłanów, aby obmyci krwią Baranka, godnie przyjęli Ciało Chrystusowe. Od świtu do południa, tak przed obrazem Maryi jak i nad wałami odprawiają się Msze święte i rozdają Komunię ludowi; a muzyka zamkowa wygrywa hymny i pieśni na cześć Boskiej Dziewicy.

Tatarzy zdumieni wybiegają z namiotów pytając, co to znaczy? czy to wycieczka, czy hasło do boju?... ale wnet spostrzegli, jakiego oręża chrześcijanie Ostrogscy na nich używają.

Oto wychodzi procesya.

Na rogu szańców ukazuje się wielki srebrny krzyż jaśniejący jak poranna gwiazda na niebios błękicie. Niesie go sam książę, poważny starzec z odkrytą głową bez broni, dla pokazania, że odtąd cała nadzieja jego w krzyżu Chrystusowym. Za nim idzie miejska szkoła; biedne dziatki! blade, ale wesołe, bo piękne światło i jasne jak niebo. Potem księża Bernardyni w ciemnych habitach z kapturem na głowie, niosąc na ramionach w złocistej trumnie z wieżyczkami relikwie swego świętego Patrona. Za nimi pobożne bractwa, niewiast, żołnierzy, obywateli ostrogskich z chorągwiami: czerwonemi, niebieskiemi, srebrnemi, złocistemi z gwiazdami, liliami, które wiatr przy

pogodnem niebie rozdymał... Przy tem mnóstwo światła, kadzidła, wonności, bukietów i kwiatów. Piękne grono młodych dziewic w bieli, z wieńcami na głowie jakby rajskie zjawisko, niosą śliczną statuę Maryi, dziewic Królowej. A po tym obłoku białych welonów, lilij, wonności i kwiatów, jakby w złotym obłoku zasianym rubinami i brylantami, szli kapłani niosąc w ręku relikwiarze, pastorały, kielichy... Za nimi pod bogatym purpurowym baldachimem promieniejący król chwały, Jezus Chrystus w Hostyi ukryty, mile spoglądał na lud ten u stóp Jego zebrany. Dalej za Najświętszym Sakramentem postępowała samotna dziewica w bieli, ostatnia latorośl książęcego szczepu Ostrogskich... a za nią tłumy wiernych zamykały orszak.

Na widok jaśniejącego krzyża, złotej trumny, bogatych kadzielnic, naczyń świętych wysadzanych drogiemi kamieniami, Tatarzy wybiegają z namiotów, zbliżają się do murów... Małe iskrzące się ich oczy płoną chciwością; wyciągającą ręce, chwytają za łuki, pytając czy trzeba strzelać?

— Naciągnijcie łuki, odpowie Abdul-Beg, ale czekajcie mego znaku; za parę minut...

W tem na zakręcie wałów, wśród gorejącego światła ukazuje się Przenajświętszy Sakrament, a wnetże kapłani i lud wierny, mężczyźni i niewiasty, starcy i dzieci, wobec śmierci i pożogi, jak chór Aniołów jednem pieniem zanucą: *Salve Regina!*

Tatarzy gotowi do wystrzału, znowu się stropili.,. To nie hasło do boju: patrzą na swego wodza, lecz Abdul-Beg pobladł...

W towarzystwie swego starego więźnia, który był zawsze przy nim, zbliżył się on zupełnie do murów zamkowych. Siedząc na pysznym arabskim koniu, z dyamentową kitą przy turbanie, kwitnącej urody młodzieniec, przypatrywał się obojętnie wspaniałości pobożnego orszaku; lecz gdy zabrzmiały pierwsze słowa świętego hymnu, Abdul-Beg zadrżał, puścił cugle rumaka, w zamyśleniu słuchał wdzięcznego śpiewu, jakby zbierając dawne wspomnienia... a nareszcie Grzegorz usłyszał go drżącym głosem powtarzającego dalsze słowa modlitwy: *Ad te clamamus, exules filii Evae... O clemens! o pia! o dulcis Virgo Maria!...*

Po procesyi, dzwony znowu zabrzmiały. Przy wspaniałym ołtarzu ozdobionym majem i bukietami kwiatów, wśród wonności kadzidła i gorejącego światła, kapłani w bogatych szatach sprawowali Najświętszą Ofiarę. Wesołe: *Gloria in excelsis Deo,* rzewny śpiew *Prefacyi,* rozjaśniają w zbolałych sercach promyk

nadziei... Wszyscy wołają o miłosierdzie, o ratunek... Przy podniesieniu Hostyi, tłumy kornie pochylone adorują Boga zstępującego na ołtarz, Aniołowie unoszą łzy i błagalne prośby przed Tron Najwyższego... A gdy kapłan celebrujący donośnym głosem zaintonował: *Pater noster*, Abdul-Beg blady, drżący, uderzając się w czoło, nagle zawoła:

— Ja to wszystko wiem! Pamiętam dobrze, klęczałem w stepach pod dębem i płacząc powtarzałem te same słowa... Ale któż mię ich nauczył? Kto je mówił przedemną?... Tak, to była moja matka! *Moja matka!* zawoła Abdul-Beg w języku ojczystym od dwudziestu lat zapomnianym, z którego te tylko słowa w sercu jego zostały.

— Twoja matka, powtórzył Grzegorz zdumiony, twoja matka mówiła naszym językiem? modliła się do naszego Boga?... Któż ona była? Cóż się z nią stało?...

— Widzę ją w tej chwili białą, nieruchomą, mówił dalej młodzieniec. Mniemałem, że ona śpi,.. lecz ona była umarłą... Przypominam sobie teraz, że nosiła aksamitną suknię, złoty łańcuch miała na szyi, białą zasłonę na głowie, a wszyscy ją zwali: Księżną! A ja, ach! Jam się wtedy nie nazywał Abdul-Beg... Lecz jakież było moje imię?... Nie pamiętam... Nie nosiłem wtenczas turbana, lecz okrągłą czapeczkę z piórem; starcy z białą brodą ubrani jak ty Grzegorzu, całowali moją rękę, mówiąc: paniczu! A mężczyzna.,. tak, widzę go jeszcze... mężczyzna w błyszczącej zbroi, w hełmie z czerwoną kitą, brał mię na kolana i ściskając nazywał mię swym synem... Lecz moje imię, moje prawdziwe imię, któż mi je przypomni? Ach! mówił po chwili, wznosząc oczy jakby w zachwycie; gdym wyciągnął ręce do mojej matki, ona mię tuliła do serca, mówiąc: Kazio mój!

— Kazio! Byłżebyś moim panem? — zawoła starzec wzruszony wpatrując się weń, chcąc znaleść pod tym turbanem, pod tym sutym wąsem, dobrze mu znane rysy jego panów, książąt Ostrogskich!...

— Pamiętam, mówił dalej, że Tatarzy tacy jak ci, nad którymi teraz mam dowództwo, powieźli nas w stepy i że moja matka umarła. Tam ją pogrzebali pod dębem; i druga kobieta, która była z nami, została tam rozciągniona na ziemi krzycząc i płacząc...

— Tak jest, rzecze Grzegorz, drżący ze wzruszenia; była to Horpina piastunka twej siostry...

— Ach! nie mów mi jej imienia, starcze, niech je sam w mem sercu znajdę... mojej siostry... mojej siostry Aliny, której matka nie mogła znaleść i z boleści umarła... Biedna matka!!... Ach! jeżeliś ją znał, starcze, mów mi o niej... Powiedz mi jak się ona nazywała, gdzie mieszkała, gdziem się ja urodził?... Od dwudziestu lat żyjąc przy boku chana tatarskiego dawnom o tem zapomniał.

— Nazywała się ona księżna Konstancya Ostrogska. Oto jej zamek; tu ona żyła szczęśliwą matką, odpowie Grzegorz, wskazując na mury fortecy.

Co! tu żyła moja matka! Tu miejsce mego urodzenia! A jam chciał zburzyć i spalić to miasto! Jużem tyle krwi bratniej rozlał!!.., Ach! niech będzie błogosławiony ten śpiew, który rozbudził wspomnienia moje!... Bez tego zostałbym barbarzyńcą i bratobójcą... bez tego, nigdybym nie przypomniał pięknego oblicza mojej matki, ni mego słodkiego dziecięcego imienia!... O! Grzegorzu! dziękuj twemu Bogu, że zbawił miasto!... Zachowam je od zniszczenia; stanę między wami a mojem wojskiem, choćbym sam miał zginąć...

— Nie, nie, panie mój! nie umieraj!... Jest w tych murach serce czułe, serce dziewicy i siostry gotowe cię kochać... Pomyśl o naszej Alinie, panie mój! zachowaj twe życie, a razem zachowaj miasto. Posłuchaj rady starego Grzegorza, Abdul... Książę Kazimierzu! Czterdzieści lat dźwigałem oręż, znam się na wojennych wybiegach... Daj teraz hasło do odwrotu, a co potem czynić? zobaczymy!...

Wnetże Abdul-Beg oświadczył swym oficerom, że ta pobożna demonstracya oblężonych, była pewno pokrywką napadu lub wycieczki; dlatego trzeba się mieć na baczności. Uderzono w bęben, i Tatarzy choć niechętnie weszli do swych namiotów. Tak nabożeństwo skończyło się spokojnie, ani jednej strzały nie wypuszczono.

Tegoż wieczora Abdul-Beg zebrał swą radę, a chmurny i zafrasowany oznajmił, że wojsko polskie spieszy na pomoc oblężonym; że niebezpiecznie byłoby dla jego walecznych żołnierzy mierzyć się z regularnem wojskiem, lepiej zatem odstąpić od zamku.

To też nazajutrz mieszkańcy Ostroga z niewymowną radością ujrzeli się wolni od oblężenia. Znikły zielone sztandary, złote półksiężyce i szare tatarskie namioty... Ostatni z dzikich najezdników uciekając z wielkim pędem, skryli się w dali za różowym obłokiem. Miasto i zamek ocalone.

Wnetże uderzono we dzwony na dziękczynne nabożeństwo; wszędzie słyszano tylko radośne pienia podobne do owych, jakie się rozlegały w Bethulii po śmierci Holofernesa.

W kilka dni potem, dwaj rycerze z dalekiej podróży, kurzem okryci, stanęli pod murami Ostroga, prosząc o przyjęcie na zamek. Księżniczka Alina krzyknęła z radości na widok wiernego sługi Grzegorza, o którym mniemano, że dawno zginął. Lecz jakież było jej zdumienie, gdy towarzyszący mu piękny młodzieniec w zielonym turbanie, zowiąc ją siostrą, ręce jej całował i łzami oblewał?!...

Wtenczas Kazimierz opowiedział swe dziecinne wspomnienie o zabraniu w niewolę, o śmierci w stepach, nareszcie jak go chan tatarski za syna przysposobił. Horpina go poznała; i każdy widział w jego rysach, w słodkim a dźwięcznym jego głosie, prawdziwego potomka książąt Ostrogskich.

Alina oddała mu koronę i klucze od fortecy.

— Przyjm, rzecze, panie mój, bracie mój, to dziedzictwo, te skarby i miecz ojcowski... nie są one dla mej słabej dłoni... Milej mi oddać je bratu, niż komu innemu.

Była tedy wielka radość na zamku i w mieście: wszyscy wysławiali dziwne sprawy Boże, cieszyli się z cudownego wybawienia od Tatarów, i z powrotu młodego księcia... We wszystkich kościołach przy dziękczynnem nabożeństwie, brzmiał wesoły hymn: *Te Deum.*

Odprawiono potem wiele Mszy żałobnych za poległych w walce z Tatarami.

Książę Kazimierz z rzewną pobożnością podzielał te uniesienia radości: serce jego płonęło szczególną miłością ku Matce Boskiej, która mu dała odzyskać kraj swój i drogą rodzinę... dlatego złożył u stóp Maryi zielony swój turban, z dyamentami jakie przy nim były, na złotej banderoli wypisano ostatnią modlitwę umierającej matki: *Salve Regina.*

Koniec.

Rzadka uczciwość.

W Anglii wiele jest bogatych panów, którzy rozległe mają włości i dobra, na których sami nie gospodarzą, ale je sumiennym i rozumnym wieśniakom wypuszczają w dzierżawę. Do takiej dzierżawy należą, jak się to samo przez się rozumie, wszystkie zabudowania gospodarcze i wogóle cała własność. Jeżeli taki dzierżawca uczciwy i sumienny, natenczas może na niej pozostać do śmierci, a po śmierci jego objąć ją mogą synowie i wnuki, a że warunki dzierżawy nie są trudne, więc tacy dzierżawcy zwykle pięknego dorabiają się majątku, chociaż żadnej nie mają własności.

W hrabstwie Jorkschire w Anglii, objął dzierżawę małego folwarku młody człowiek nazwiskiem Tomasz Bird, który właśnie młodą pojął małżonkę.

Tom, jak zwykle to imię w Anglii skracają, obsiał swą rolę po raz pierwszy pszenicą, która tak pięknie zeszła, że mu się serce śmiało, bo gdyby ją szczęśliwie sprzątnął, wystarczyłaby mu sama na zapłacenie dzierżawy, a wszystkie inne plony byłyby już jego własnością i czystym zyskiem. To opowiedział swej żonie, gdy powrócił z pola, na którem właśnie pierwszy śnieg popruszył ozimině, i oboje dziękowali Bogu za szczęśliwy początek swej pracy.

Z folwarkiem, który Tom dzierżawił, graniczyła posiadłość młodego hrabiego, nazwiskiem Fiz-Wiliam, bogatego pana i namiętnego myśliwego. To też, gdy pierwszy spadł śnieg, zaprosił młody hrabia trzydziestu przyjaciół na polowanie, a że takie polowania w Anglii odbywają się konno i każdy z gości konnych swych strzelców i pachołków przywodzi, przeto cała kalwakata składała się z siedemdziesięciu konnych strzelców, prowadzących psy na smyczy, prócz tego nie mała była liczba naganiaczy.

Hrabia wyznaczył wszystkim punkt zborny na polu, nie

zważając na to, że pole było obsiane pszenicą i nie pamiętając o tem, że ono nie było jego własnością. Przeszło godzinę więc ujeżdżali myśliwi po polu, aż wszyscy goście się zjechali.

Tom usłyszawszy wrzawę i trąbienie, wyszedł ze swego domku i ku wielkiemu swemu przerażeniu spostrzegł, że konie niemiłosiernie tratują jego oziminę, i że cała jego nadzieja obfitego plonu w niwecz obrócona.

Rozżalony i oburzony pobiegł do gości, przystąpił do hrabiego z godnością, chociaż grzecznie, zwrócił mu uwagę na to, że nie na swojem znajduje się polu i że cały jego dobytek niweczy.

Hrabiemu żal się zrobiło biedaka; zaręczał mu, że tego nie uczynił z rozmysłem, że chętnie szkodę wynagrodzi i prosił o oszacowanie szkody.

Tom był we wielkim ambarasie, bo tyle jeszcze nie miał doświadczenia, aby podobną szkodę oszacować. Na szczęście przechodził tamtędy inny dzierżawca, gospodarz już nie młody i hrabia zapytał Tomasza, czy zechce, aby ten szkodę oszacował, na co też Tomasz chętnie się zgodził.

Gospodarz obszedł pole, obejrzał szkodę i oszacował ją na 50 funtów szterlingów (około 1.200 kor.) Nie mówiąc ani słowa zapłacił hrabia natychmiast tę kwotę i opuścił z gośćmi rolę Tomasza. Ten przestraszył się, gdy tyle pieniędzy odrazu odebrał.

— Widocznie za wysoko szkodę oceniliście — rzekł do gospodarza. — To za wiele!

— Możebyście woleli oddać pieniądze i szkodę znieść w milczeniu? — zaśmiał się gospodarz. — Hrabia ma na to, może zapłacić, a wam się pieniądze przydadzą. Nie bądźcie głupim, Tomaszu! Na sądzie byłby hrabia gorzej na tem wyszedł, bo byłby prócz zapłacenia szkody skazany został jeszcze na karę.

Tomasz zaniósł pieniądze do domu, ale nie miał chwili spokojnej, bo wciąż mu się zdawało, że to za wiele. Tymczasem pieniądze bardzo mu się przydały, bo żona powiła mu synka, więc znalazły się i wydatki, na które początkujący gospodarz nie był przygotowany.

Nadeszła zima i śnieg ciepłym puchem okrył wszystkie pola, a gdy zima minęła i wiosna zawitała ze swemi ciepłemi deszczykami i ożywiającemi promieniami słonka, wtenczas stratowana ozimina Tomasza się podniosła, plon przewyższył

wszystkie jego oczekiwania, a ze sprzedanej pszenicy nietylko zapłacił dzierżawę, ale jeszcze coś dla siebie zatrzymał. W całej Anglii nie było szczęśliwszej pary, jak Tom i jego małżonka.

W jesieni powrócił znowu hrabia Fiz-Wiliam do swych włości, aby oddawać się polowaniu. Zaraz nazajutrz po jego przybyciu zgłosił się do niego dzierżawca Tomasz Bird.

Hrabia zapomniał już był o całej sprawie, ale skoro tylko ujrzał Tomasza, poznał go natychmiast i sięgając do biórka po pieniądze, rzekł:

— Niezawodnie, mój kochany, za nisko oszacował dzierżawca szkodę, jaką ci wyrządziłem. Bardzo mi to przykro, że ci tę krzywdę wyrządziłem, mianowicie, gdy słyszałem, że jesteś dopiero początkującym. Chętnie więc ci zapłacę, ile będziesz żądał, aby szkoda sowicie była wynagrodzona.

— Prócz tego jeszcze wdzięczny ci jestem, żeś tak grzecznie ze mną się obszedł; inny byłby mię zaskarżył przed sądem.

— Przepraszam — rzekł pokornie uczciwy Tomasz. — Nie w tym ja przychodzę interesie, aby czegoś żądać, ale że przeciwnie nakazuje mi sumienie oddać to, co wziąłem niesprawiedliwie. Dopiero przy żniwach pokazało się, że stratowanie mej oziminie nietylko wcale nie szkodziło, ale że przeciwnie na tem miejscu wcale piękny i obfity plon zebrałem. Nic więc nie straciłem i nie mogę też zatrzymać pieniędzy, które się mnie nie należą, dlatego je oto przynoszę.

To mówiąc położył pieniądze na stole. Hrabia wzruszony położył mu rękę na ramieniu.

— Masz ty dzieci, Tomaszu? — zapytał.

— Mam synka — odrzekł Tomasz.

— Niech ci go Pan Bóg zachowa — rzekł hrabia — bo byłoby szkodą, aby taki zacny ojciec nie mógł swych zasad przekazać dzieciom. Słuchaj Tom, pieniądze są twoje, a ja tu jeszcze dokładam drugie tyle, abyś całą tę kwotę oddał na procent i przekazał ją synowi, gdy zawód jaki rozpocznie. A powiedz mu skąd się wzięły te pieniądze, aby zawsze pamiętał na tę prawdę, że uczciwym Pan Bóg błogosławi!

Tom nie chciał pieniędzy przyjąć, ale ostatecznie hrabia zmusił go do tego.

Gdyby tak wszyscy ludzie pamiętali, jak ów wieśniak, na tę prawdę, mniej byłoby na świecie oszustw i nieuczciwości, ale też i mniej biedy!

KRAKOWIAK.

Jakże miło żyć na świecie!
Kocham wszystkich ludzi,
Kocham lasy, pola, kwiecie,
Słonko, co nas budzi.

Kocham wietrzyk, co mi włosy
Zwiewa, chłodząc skronie,
Kocham ziemię i niebiosy,
Rzeki modre tonie.

W oczy wszystkim patrzę śmiele,
Bo pracuję żwawo,
W święto modlę się w kościele,
Znam się i z zabawą.

Z oczu patrzy mi pogoda,
Wszyscy dla mnie szczerzy,
Szkoda tylko, że jak woda
Czas niechwytny bieży.

Z. Z.



Niepokalana!

Precz z alkoholem!

Straszne zdziczenie moralne, nędza i wszelkiego rodzaju zbrodnie, jakie w ostatnich latach zdarzają się na porządku dziennym, wywołały badania wielu ludzi uczonych, co jest najważniejszą przyczyną tego upadku moralnego w społeczeństwie ludzkiem. Wiele takich przyczyn możnaby wskazać, lecz prawie jednogłośnie wszyscy zgadzają się, że najważniejszą tego przyczyną jest nadużycie spirytusu.

Nie ulega to już bowiem dzisiaj żadnej wątpliwości, że alkohol jest główną zaporą na drodze dobrobytu i umoralnienia nietylko jednostek ale i całych narodów. To też prawie we wszystkich krajach cywilizowanych łączą się ludzie dobrej woli w towarzystwa przeciw tak niebezpiecznemu wrogowi ludzkości, jakim jest alkohol.

I w naszem społeczeństwie, za przykładem innych narodów, poczyna owo hasło wzywające do walki z alkoholem, powoli się szerzyć, znajdując posłuch i po chatach wieśniaczych i pośród robotników.

Niestety, u nas potrzeba walki z pijaństwem, już bardzo rozpowszechnionej w innych krajach, jest mało jeszcze zrozumiana.

I dlaczego tak jest? Dlatego, bo u nas pijaństwo szeroko się rozgałęziło, i stało się powszechnem, tak, że my nawet nie widzimy przerażających jego skutków.

U żydów rzadko się widzi pijanego, bo jeśli taki gdzie się znajduje, to żydzi kryją go starannie, nie pozwalając, by żyd hańbił pijaństwem ich społeczeństwo.

A u nas jak się dzieje? Gdy idzie pijak drogą, to biegnie za nim gromada dzieci, szydząc i wyśmiewając się z niego a nawet kamieniami rzucają lekkomyślnie za nim. Starsi widząc to, zamiast ganić, cieszą się również z tego widoku. A gdy pijak legnie gdzie w rynsztoku, lub błocie, to nas to jeszcze więcej bawi i cieszy.

Tymczasem należałoby się nam nie śmiać, ale zapłakać na podobny widok. Bo któż to jest, co leży w tym rynsztoku lub błocie? To człowiek stworzony na obraz i podobieństwo Boga, a ten obraz poświęcony przez Boga, tak zbeszczeszczony tarza się w błocie. To chrześcijanin-katolik, naznaczony na duszy przez Boga samego znakiem niezatartym w Sakramencie chrztu świętego. To wreszcie syn wyrodny wspólnej naszej matki Ojczyzny, to brat nasz, to rodak, co hańbi całe społeczeństwo.

A my zamiast boleć nad tem, śmiejemy się patrząc na to. Dlaczego? bośmy się do tego przyzwyczaili, bo to się u nas dzieje zbyt często, bo pijaństwo u nas spowszechniało. I to właśnie jest przyczyną, że u nas walka z alkoholem tak mało jeszcze ma zwolenników.

Trudno nam się ocknąć z dotychczasowej nieczułości na te straszne szkody, jakie alkohol wśród nas i całej ludzkości wyrządza. Nie zdajemy sobie sprawy ze skutków pijaństwa, które tyle już biedy wśród nas zgotowało, a wielu o zgubę przyprawiło.

A jednak ocknąć się nam koniecznie i rychło potrzeba, jeżeli w drodze ku lepszej przyszłości nie chcemy pozostać w tyle za innymi narodami, jeżeli nie chcemy, aby nas inni palcami wytykali.

Jesteśmy już narodem bardzo nieszczęśliwym, z obawą i przerażeniem patrzymy w naszą przyszłość, czy nam nie zabraknie niezadługo dachu nad głowami i chleba dzieciom naszym. — Nam zatem więcej od innych należy się garnąć w szeregi walczących przeciw tak niebezpiecznemu wrogowi, jakim jest alkohol.

Rozmaici ludzie nadali alkoholowi rozmaite przezwy; najlepiej go nazwać złodziejem! bo jest nim rzeczywiście w całem znaczeniu tego wyrazu, z tą tylko różnicą, iż przed złodziejem w znaczeniu pospolitem zamykamy się na mocne zamki i rygle, a w danym razie ścigamy go i karzemy, gdy tymczasem temu złodziejowi otwieramy sami lekkomyślnie drzwi i bramy, szukamy go nieraz, zapraszamy i bawimy go u siebie. — A ten sprytny złodziej, korzystając z naszej lekkomyślności w zuchwały sposób okrada nie tylko poszczególne domy i rodziny, ale opustoszył również i pustoszy jeszcze we wszystkich piętrach gmachu naszego narodu.

3*

Przypatrzmy się bliżej, chociaż tylko pobieżnie, z czego ten złodziej alkohol nas okrada. — Okrada nas z mienia, kradnie zdrowie, a dość często i życie ludziom; kradnie i sławę i dobre imię, wykrada z wielu rodzin zgodę i szczęście domowe, spokój sumienia, a co najokropniejsza, tylu ludziom kradnie co mają najdroższego, t. j. duszę, którą przesyła w otchłań piekielną — w ręce szatana.

Powiedzieliśmy najprzód, iż okrada nas z mienia.

Jak ogromne sumy oddawają ludzie lekkomyślnie w ręce tego złodzieja, t. j. na alkohol, daje nam dokładne pojęcie statystyka, czyli obliczenie ludzi doświadczonych, która wykazuje, że w Niemczech wydawają ludzie na wino, piwo i wódkę trzy tysiące milionów marek rocznie, czyli około cztery tysiące milionów koron. Aby mieć większe pojęcie jak wielką jest ta suma, to obliczono, że gdyby te pieniądze były w złocie, to do przewiezienia jej potrzebaby pociągu o 120 wagonach towarowych. A u nas, choć nie robiono dokładnych obliczeń, na pewno nie mniej stosunkowo wypadnie. Pomyślmy zatem: gdyby ludzie przestali pić napoje spirytusowe, jak olbrzymie kapitały pozostałyby w naszym biednym kraju? Ileż dobrego możnaby zrobić za te pieniądze? Ileż nędzy podnieść, zrujnowany przemysł poprawić, ile ziemi, która coraz bardziej z pod nóg nam się usuwa, przechodząc w obce ręce, uratowaćby można?...

Wielu się zdaje, jak to często słyszymy, że za swoje pieniądze wolno im robić co chcą; a więc i upijać się. To nieprawda! chociaż to niby twoje pieniądze, bracie kochany, to nie wolno ci ich trwonić lekkomyślnie. A ma prawo, a nawet obowiązek upominać ciebie społeczeństwo, do którego należysz, bo swojem postępowaniem przynosisz mu nietylko wstyd i hańbę, ale i krzywdzisz je także materyalnie. Jeżeliś zaś jest ojcem lub matką niesumienną, mają prawo dzieci twoje upominać cię, a nawet obcy, abyś ich nie krzywdził. Ileż to bowiem dzieci złorzeczy już może w grobie spoczywającym rodzicom, którzy niegdyś mając znaczny majątek, zmarnowali go: a one teraz pomiędzy obcymi, w biedzie i niedostatku tułać się muszą. — A ileż znowu rodziców przeklina dzieci swoje, którym oddawszy z trudem i mozołem zaoszczędzony majątek, one go przez pijaństwo zmarnowały, albo też marnują?

Powiedzieliśmy również, że alkohol kradnie ludziom zdrowie a nawet życie. — Że alkohol szkodzi zdrowiu, potwierdzają

wszyscy prawie lekarze; a szkodzi dlatego, że jest trucizną. I gdybyśmy byli w stanie zwiedzić chociaż tylko w naszym kraju szpitale, a pytając się szczegółowo o przyczynę choroby tam się znajdujących, dowiedzielibyśmy się, iż u większej części przyczyną pośrednio lub bezpośrednio był alkohol! A w zakładach dla obłąkanych, iluż tam jęczy i targa się wskutek zatrucia się alkoholem? — A iluż ten zbrodniarz alkohol przeprowadza nieraz w kwiecie wieku ludzi z tego świata na drugi? — Pewien sławny lekarz francuski powiada słusznie, iż większa część ludzi, którzy na oko umierają śmiercią zwykłą, nie umiera, ale się zabija, bo skraca sobie życie życiem lekkomyślnem i pijaństwem. — A gdy rozważymy, ilu to ludzi winnych i niewinnych ginie śmiercią gwałtowną wskutek alkoholu, o czem nam gazety codziennie donoszą. Jakto niedawno przez pijaństwo jednego tylko człowieka, tylu ludzi straciło życie przez zderzenie się pociągów. — Gdzieś zaś dwóch w napitym stanie zabiwszy człowieka, na szubienicy skończyło. Gdzieindziej znów pijany syn ojcu, albo mąż żonie, siekierą głowę rozpłatał. A iluż to przy kieliszku nożami się poprzebijało? iluż w pijanym stanie potopiło się w rowach i innych wodach? Iluż to wreszcie skutkiem pijaństwa rozszarpanych zostało przez pociągi lub inne maszyny?

Ach! ręce załamaćby tu trzeba i zawołać: o! zbrodniarzu alkoholu, a zabójco, co tyle ofiar pochłaniasz, czemuż cię jeszcze ludzie tak uwielbiają, czemuż cię tak mało ścigają! O zaiste! należałoby wobec tego na wszystkich destylacyach i szynkowniach wymalować trupią głowę z napisem na pierwszych: tu się fabrykuje, a na drugich tu się sprzedaje truciznę i śmierć; tak samo na wszystkich flaszkach z alkoholem!

Alkohol wykrada ludziom dobrą sławę i dobre imię. Pijak jest wyśmiewany, rodzina i znajomi wstydzą się go, nikt mu nie ufa, — i słusznie, skoro on sam siebie nie szanuje, stawiając się niżej zwierząt, i nie może zapanować nad obrzydliwym nałogiem.

Alkohol wykrada szczęście domowe. W wielu to rodzinach alkohol zatarł wszelkie poczucie cnoty, a uczynił z nich siedlisko najgorszych nieraz występków i zgorszenia. — Wypędził zgodę i miłość małżeńską z domu niegdyś zgodnego. Ileż to żon, mających mężów pijaków, nieraz tyranów nad sobą, przeklina

tę chwilę kiedy się poznali. — Ileż to przekleństw i obrazy Pana Boga ze strony męża, zniecierpliwionego na żonę pijanicę..

A cóż się dopiero dzieje w rodzinie, gdzie ojciec i matka piją, jak tam wygląda pod względem wychowania? O! zaiste! lepiej dla nich byłoby, aby zostali sierotami. Nieszczęśliwe takie dzieci, bo one już zatrute na ciele i duszy i to przez własnych rodziców.

Chodzi teraz o to, jak mamy walczyć. Przedewszystkiem każdy od siebie zacząć powinien. Nie śmiemy domagać się, aby nikt nie brał do ust wódki, wina lub piwa. Niestety bowiem zgubny zwyczaj używania napojów spirytusowych tak jest zakorzeniony, że niepodobieństwem byłoby chcieć usunąć go odrazu.

Starajmy się przeto nie nadużywać, jeśli już używamy ich, szerzmy wszędzie zasadę trzeźwości. Przy okazyach, jak wesela, pogrzeby, lub chrzciny, ograniczmy kupowanie napojów do najmniejszej i tylko ze względów gościnności — ilości, przestrzegając, aby nikt nie zhańbił domu naszego, wychodząc zeń nie trzeźwy.

Unikajmy karczem i szynków, i unikajmy pijaństwa. Omijajmy je, jakby miejsca zapowietrzone. Lecz przedewszystkiem zacznijmy od młodzieży i dzieci.

Jak ogrodnik, który zamierza założyć ogród owocowy, a chce mieć dobry i szlachetny owoc, nie sprowadza drzew wyrosłych, ale młode latorośle, które zasadziwszy, lata całe pielęgnować musi, zanim owocu się doczeka, tak i nam czynić wypada. Od rodziców głównie to zależy, a przedewszystkiem od matki. I tak, najpierw każda matka powinna wiedzieć, że karmiąc dziecko, nie wolno jej używać żadnych trunków alkoholowych. A jeżeli to czyni, to lepiej, że jej Pan Bóg dziecko zabierze, bo przygotowuje je na przyszłego pijaka.

Dalej — matka dziecku już większemu, nie powinna nigdy dawać żadnych rozpalających trunków. Rodzice nie powinni dzieci posyłać po wódkę, ani mieć jej w domu tam, gdzieby dziecko sięgnąć mogło. Bo wiedz ojcze i matko, że szatan nie śpi, ale jako lew ryczący krąży, aby duszę, a przedewszystkiem niewinną, dostać. I gdy ty posyłasz to dziecko z flaszką, to on może już temu dziecku towarzyszy i nakłoni je, aby z flaszki pociągało po drodze, albo w domu, gdy wyjdziesz, a flaszka stoi na widoku. A tak nie wiedząc o tem, staje się dziecko twoje pijakiem, a ty przed Bogiem odpowiesz za nie.

Wreszcie ojcze i matko, jeżeli nie chcesz gorszyć twoich dzieci, nie pij tak, aby dzieci widziały i nie upijaj się nigdy. A jeżeli kochasz dzieci twoje i pragniesz ich szczęścia, nie pij wcale. A wtedy przystąp do towarzystwa zupełnej wstrzemięźliwości. Uczyniwszy taką z siebie ofiarę, przysłużysz się nie tylko Bogu i dzieciom twoim, ale i społeczeństwu naszemu i całej ludzkości. I gdy tak wszyscy żyjąc sami trzeźwo i wstrzemięźliwie wychowywać będziemy synów i córki nasze, śmiało patrzeć możemy w przyszłość. Bo naród, który wśród cierpień umie wznieść się ponad życie codziennie pracując nad udoskonaleniem się duchowo, — naród taki wbrew wszystkiemu zginąć nie może. Zatem:

Czas już łuskom odpaść z powiek,
Czas już przejrzeć Boga wolę,
Czas — anielski podjąć trud,
Czas odrzucić wszelki brud.

Zawstydzony niedowiarek.

Sławny astronom Atanazy Kirchner T. J., chcąc jednego ze swoich znajomych, który wątpił o istnieniu Boga, przekonać o tem, użył następującego środka.

Wiedząc, o którym czasie ów znajomy go odwiedzi, postawił w kącie swego pokoju prześliczny globus, to jest podobiznę kuli ziemskiej, a sam pracował. Wtem wchodzi jego znajomy i spostrzegłszy ów globus, pyta zdziwiony:

— A to co? Czyje to? Kto to zrobił?

Kirchner mu na to spokojnie:

— Nikt, — samo się zrobiło i przypadkiem tam się dostało.

— Wolne żarty, kochany Ojcze, — odrzekł znajomy.

— Ależ wcale nie żarty, rzeczywiście ten globus przypadkiem się zrobił i do kąta mego pokoju się dostał.

Tego było już za wiele owemu panu i począł się niecierpliwić, a nawet czuł się obrażonym, że Kirchner z niego żartuje. Tej sposobności użył astronom i rzekł:

— Pan nie chcesz wierzyć i uważasz to za rzecz niedorzeczną, przypuścić, że ten mały globus sam przez się powstał i przypadkiem do owego kąta się dostał; a jak pan możesz rozumnie przypuścić, że ta prawdziwa kula ziemska i całe niebo wraz z planetami i gwiazdami same przez się i prostym tylko przypadkiem powstały?

Znajomy umilkł i odszedł zawstydzony.

Czwarte przykazanie.

Kiedym był małym chłopcem — tak opowiadał pewien kapłan katolicki — zapoznałem się ze starym człowiekiem, kaleką mieszkajacym u swego syna. Z biedakiem obchodzono się w sposób prawie oburzający. Nikt z domowników, nawet własny syn nie dawał mu dobrego słowa, wszędzie i każdemu on zawadzał, popychano go z kąta w kąt, zazdrościli mu nawet słońca i powietrza.

Okryty staremi łachmanami leżał nieborak w ciemnym wilgotnym kącie na zgniłej słomie, robactwo dręczyło go dzień i noc. Nie dość, że mu dali liche, mizerne pożywienie, lecz w zimie nie pozwalali zbliżać się do ogniska, aby mógł cokolwiek rozgrzać skostniałe od zimna członki, a gdy zachorował nie wezwano żadnego lekarza, któryby mu przyniósł ulgę w cierpieniach.

Z tym biednym staruszkiem zapoznałem się i często z nim rozmawiałem, bo litość nad jego niedolą przyciągnęła mnie do niego, i radbym był mu w czemkolwiek dopomódz, gdybym był mógł.

Dziwiło mnie to bardzo, że się nigdy nie uskarżał ani na syna, ani na swoją biedę, nigdy nie usłyszałem słowa przykrego z ust jego, chociaż mu w najgorszy sposób dokuczano. Często odmawiał Różaniec, który trzymał w chudych, zżółkłych i drżących swych rękach.

Raz kiedym go znowu odwiedził, nie mogłem się przezwyciężyć i zapytałem się czemu on nigdy nie wpada w gniew lub w niecierpliwość, lecz zawsze jest cichy i cierpliwy, chociaż od własnego syna takiej doznaje pogardy i udręczenia.

Rozpłakał się na to pytanie biedaczek, westchnął głęboko, a spojrzawszy w niebo mówił:

— Jest to sprawiedliwa kara, którą Bóg spuścił na mnie! Patrzcie, oto w tym samym kącie, gdzie ja leżę, leżał przed dwudziestu laty mój ojciec! Jam go tu dotąd wypchnął, tu on

jęczał jak ja, tu on zmarniał, tu na tem miejscu umarł opuszczony, bez Sakramentów świętych i bez pacierzy.

Staruszek przetarł sobie oczy rękawem, bo mu się łzy lały strumieniem.

Po chwili rzekł głosem drżącym:

— Czy dziwno ci jeszcze, że wszystko tak cierpliwie znoszę? Cierpię wiele, to prawda, lecz cierpię, bo szczerze na to zasłużyłem! Dzień w dzień proszę i błagam Boga o przebaczenie i modlę się też za mego ojca starego, który przezemnie taką zakończył śmiercią, iż bez Sakramentów świętych zejść musiał z tego świata. Tysiąc razy pewno odmówiłem już za jego duszę Różaniec i spodziewam się, że odpokutowałem moje ciężkie grzechy.

— Lecz to mię najbardziej smuci i niepokoi, że Bóg tak samo kiedyś ukarze syna, jak i mnie teraz karze. Wiem napewno, że i mój syn, tu na tem samem miejscu kiedyś będzie leżał opuszczony, wypchnięty i tu w tym kącie umrze tak jak mój ojciec umarł i jak ja wkrótce umrę. — Bóg jest sprawiedliwym i daje każdemu to, na co sobie zasłużył!

I znowu zamilkł. Drżące jego ręce złożyły się jakby do modlitwy. Po tem cicho dodał:

Pomnij na moje słowa, dziecko! — Tyś jeszcze jest młodym, ty tego dożyjesz! — A to sobie spamiętaj na całe życie: nigdy nie dopuszczaj się zniewagi względem rodziców, bo tak jak ty rodzicom, tak tobie kiedyś dzieci!

Dwadzieścia lat od naszej rozmowy minęło. Zapomniałem już o owym staruszku na zgniłej słomie, gdym się raz znowu przypadkiem dostał w me strony ojczyste.

Przechodzę około tego samego domu i widzę jak w onczas tę samą starą postać wynędzniałą, bladą, z różańcem w drżących rękach.

Mniemałem, że widzę ducha.

Przystąpiłem do niego wołając go po imieniu.

On oczy zdziwione na mnie wlepił.

— Cóż to — zapytałem go — to wy jeszcze żyjecie? — Przecież już musicie mieć więcej niż sto lat!

— Jegomość pewno mówi o moim ojcu nieboszczyku —

odparł staruszek — on już dawno nie żyje! Przed 19 laty umarł nieborak. Tu na tem samem miejscu, gdzie ja teraz siedzę i on przed 19 laty siedział w nędzy i biedzie, tu zmarniał, tu umarł! — Tu on się modlił za swego ojca, jak ja teraz się modlę za niego! — Niech mu da Bóg wieczne odpocznienie!

Tak się sprawdziło wszystko, co przepowiedział ów stary, drżący mój znajomy z lat dziecięcych. Tu siedział syn jego wyrodny, pokutujący za grzechy tak, jak w onczas ojciec i dziadek jego. Tu w tym kącie ciemnym zapewne tak samo umrze, jak tamci umarli.

O jak sprawiedliwe są sądy Boże!

Nie potrzebuję ci zapewne kochany Czytelniku i Czytelniczko, dodawać do tego opowiadania innej nauki, bo ten przykład oparty na prawdziwem zdarzeniu jest nauką taką, która przeszywa całego człowieka. To tylko chciałbym ci jeszcze raz powiedzieć, co powiedział ów staruszek: »Spamiętajmy to sobie na całe życie: Nigdy nie dopuszczajmy się zniewagi względem rodziców, bo jak ty rodzicom, tak tobie kiedyś dzieci!

Wieczna to prawda i tak stara jak świat: Kto wycisnął łzy rodzicom, ten też gorżko kiedyś zapłacze na dzieci; kto rodzicami pogardzał, tym też dzieci będą pogardzały; kto się źle z nimi obchodził, ten się może w starości doczekać tej samej krzywdy od dzieci, jaką wyrządził rodzicom.

Dlatego zapiszmy to sobie głęboko w sercu, co Bóg w czwartem przykazaniu nakazuje: »Czcij ojca twego i matkę twoją, abyś długo żył i dobrze ci się powodziło na ziemi!« Czcij, szanuj i kochaj rodziców z całego serca. Niech tam ojciec lub matka są ludźmi chociażby najgorszymi, dzieci mimo to poważaniem i miłością otaczać ich powinny.

O grzeczności.

W życiu ludzkiem grzeczność jest jakoby jedenastem przykazaniem, albowiem wszelkie wykroczenia przeciwko grzeczności uważane są za przestępstwa towarzyskie. Grzeczność może być uważana także jako rodzaj paszportu, który ułatwia nam wędrówkę życia, otwierając drzwi ludzkich serc.

Któżby więc nie chciał być grzecznym, zwłaszcza że mówi przysłowie, jako na „grzeczności nikt nie straci!“

Nie każdy jednak wie, co to jest grzeczność i na czem ona polega. Niektórzy myślą, że grzeczność jest przywilejem ludzi wyższych stanów i kwitnie tylko w pałacach i salonach że polega na składaniu ukłonów, prawieniu pochlebstw i obłudzie.

Inni znów myślą, że praw grzeczności przestrzegać trzeba jedynie wobec przełożonych, lub wogóle wobec ludzi, od których jesteśmy zależni, lub od których czegoś potrzebujemy.

I jedni i drudzy są w błędzie. Jeżeli jak powiedzieliśmy, grzeczność jest jakby jedenastem przykazaniem, to rzecz prosta, obowiązkiem jest wszystkich przykazanie to zachowywać i zachowywać je wobec wszystkich.

A zachowamy owo przykazanie wówczas, jeżeli ani słowem ani czynem, ani postępowaniem naszem, ani powierzchownością nie sprawimy nikomu przykrości.

Nie darmo mówią ludzie, że najlepsza i najmilsza jest grzeczność taka, która wypływa z dobrego serca.

Człowiek dobrego serca przestrzegać będzie praw grzeczności tak samo wobec obcych sobie ludzi, jak wobec najbliższej rodziny — tak samo wobec wyższych od siebie mieniem i stanowiskiem, jak wobec podwładnych, sług albo nawet żebraków, bo nikomu nie zechce z wiedzą i wolą wyrządzić przykrości.

Takiego człowieka nazwiemy prawdziwie grzecznym i takiej grzeczności matki uczyć powinny swe dzieci od maleńkości.

Są niestety matki, które przyuczają dzieci tylko do powierzchownej grzeczności. Objaśniają je, jak pozdrawiać, kłaniać się, gdzie i kiedy zdejmować czapkę, gdzie i kiedy używać grzecznych słówek. Bywa czasem, że matki surowo karzą swe dzieci, jeżeli te uchybią tym grzecznostkom wobec gości lub obcych, gdzie to matka popisać się chciała swemi pociechami. A te same matki nieraz obojętnie patrzą na to, jak dzieci ich naśmiewają się z ludzi biednych, jak wyszydzają, a może nawet prześladują ludzi nieszczęśliwych, obarczonych kalectwem. Z wielkiem dla nich pożytkiem byłoby, gdyby poznały, jak japońskie matki uczą swe dzieci grzeczności dla starszych i politowania dla nieszczęśliwych.

Dla przykładu niechaj posłuży w pismach angielskich opisany fakt. Amerykanin pewien, bogaty kupiec, był przez naturę upośledzony wielkiem kalectwem, które z czasem przybrało takie rozmiary, że ukryć je było niepodobieństwem. Życie tego człowieka stało się nieznośnem, bo gdziekolwiek ukazał się, wszędzie zwracał na siebie uwagę ciekawej gawiedzi. Niedawno temu, mając do przeprowadzenia interes w Japonii udał się tam i po kilku tygodniach pobytu w kraju »pogan« postanowił pozostać tam dłużej, ponieważ ani słowem, ani wzrokiem nie dano mu poznać, że jego kalectwo zwraca czyjąkolwiek uwagę. Uderzało go bardzo delikatne zachowane się tamtejszych dzieci i młodzieży, które w niczem mu nie starały się dokuczać.

Wogóle zauważono, że dzieci japońskie nauczone są nietylko mieć szacunek dla starszych, ale także i czułe serce dla kalek i nieszczęśliwych. Dzieci takie i w życiu późniejszem z pewnością wobec wszystkich współbliźnich zachowają ową grzeczność, wypływającą z dobrego serca i nikomu ani krzywdy, ani przykrości nie wyrządzą.

Wobec tego, cośmy tu napisali, mógłby niejeden pomyśleć, że dość jest nie wyrządzić nikomu przykrości, wszystkie zaś prawidła grzeczności i uprzejmości, wszystkie reguły dobrego wychowania są tylko niepotrzebnym ciężarem. Otóż i ci byliby w błędzie.

Jeżeli nie chcemy nikomu wyrządzić przykrości, to musimy unikać wszystkiego, co innym może sprawić nieprzyjemność.

Musimy zatem starać się, aby powierzchowność nasza była miłą oku, aby postępowanie nasze nikogo nie raziło.

Nie jest to naprzykład żadną krzywdą dla nikogo, jeżeli wchodząc do pokoju, lub wychodząc z niego trzaśniemy drzwiami, aż cały dom zadrży; jeżeli plujemy sobie gdzieniebądź; jeżeli jedząc mlaskamy głośno, lub palcami kładziemy kawałki strawy do ust. A jednak są ludzie, którzy słysząc lub widząc takie postępowanie, dostają poprostu »gęsiej skóry« i znieść tego nie mogą. Rzecz prosta tedy, że tak czynić nie należy.

Powiedzą też może niejedni, że do przestrzegania takich prawideł grzeczności jesteśmy zobowiązani tylko wobec obcych; wobec swoich jednak, wobec rodziny »krępować się« nie potrzeba. Takim tylko powiemy, że prawidła grzeczności i uprzejmości są na to, abyśmy jedni drugim ułatwiali i uprzyjemniali życie, a komuż bardziej winniśmy to czynić, jak nie naszym najbliższym i naszej rodzinie?

W rodzinach i w domach naszych przedewszystkiem przestrzegać winniśmy grzeczności, a wtedy z pewnością zapanuje wśród nich miłość, zgoda i spokój, owe podstawy szczęścia rodzinnego.

Co może kobieta!

Młoda pewna biedna dziewczyna we wsi N.. uskładała sobie podczas służby 100 koron. Jeden z tamtejszych rzemieślników, młody, dzielny i pilny w pracy, postanowił ożenić się z nią i doprowadził to do skutku.

Pierwsze lata pożycia były szczęśliwe. Błogosławieństwo Boże spływało na ten dom i było zawsze podostatkiem roboty. Z dochodów obopólnej pracy, zakupili sobie skromny domek i trochę gruntu.

Teraz jednak myślał rzemieślnik, że jako zamożny pan, może sobie trochę pozwolić i zaczął przesiadywać w szynku, pił tam i grał w karty. — I wnet rozpoczął też sprzedawać grunt po kawałku, mimo usilnych próśb i upomnień swej żony.

Upomnienia te jednak nic nie pomagały. Że przekleństwem i kłótnią nic się u mężczyzn nie wskura, o tem wiedziała dobrze jego żona Małgorzata.

Pewnego poranku wstała wcześniej, poszła do komory i zaczęła pakować swe rzeczy do kufra. Kiedy mąż wyspał się dobrze i przez to zupełnie wytrzeźwiał, wstał, i zaprzątał się około śniadania, zobaczył żonę zajętą pakowaniem swych rzeczy, wtedy przepity jego mózg, nie mógł tego zrozumieć.

»Małgorzato! co robisz?« zapytał. — »Kochany mężu — rzekła żona — zubożeliśmy już przez twoje pijaństwo, jeżeli tak pójdzie dalej, to w przeciągu pół roku stracimy także i domek, a wtenczas nie będziesz miał więcej ani mieszkania, ani też ubrania. Dlatego chcę stąd jaknajprędzej uciec, i udać się na służbę. Moim zarobkiem zapłacę ci czynsz i sprawię ubranie. Kochałam cię w dniach pomyślnych, chcę również i w biedzie ci dopomódz«.

Słowa te wzruszyły mężczyznę tak, że zaczął płakać. Postanowił poprawić się i dotrzymał przyrzeczenia. Dziś żyją oboje znów razem szczęśliwie i mają napowrót grunt, i zarobek.

Takiej zmiany może dokonać w postępowaniu męża, kobieta — ale tylko dobra kobieta.

Historya o Judce, który się „wściekł“.

(Zdarzenie prawdziwe.)

Mieszkałem przed kilkoma laty w jednem z miast prowincyonalnych Królestwa polskiego, w parterowym domku, na jednej z oddalonych od środkowego punktu miasta ulic, w domu, w którym było wszystkiego tylko czterech lokatorów: ja, jakiś szewc łatacz z rodziną, malarz pokojowy z liczną pociechą, i pan Wawrzyniec Piętka właściciel jednej szkapy i dwóch wozów do przewożenia gruzu i wapna.

Pan Wawrzyniec był moim najbliższym sąsiadem, mieszkaliśmy bowiem naprzeciw, a nawet żyliśmy ze sobą w ściślejszym stosunku z powodu, iż uczyłem pierwszych początków jego dwóch istotnie ślicznych, choć mocno umorusanych chłopczyków.

Pan Piętka był kiedyś włodarzem na wsi w dobrach wielkiego pana, ale gdy we wsi pokazał się nowy pan „dżedżyc“, Wawrzyniec przeniósł się do miasta, za pozostałe z krwawym potem uciułane oszczędności kupił konia, wozy — i zaczął przedsiębiorstwo przewozowe pod własną firmą.

Z początku szło mu jak po grudzie, a nieraz widmo głodu zajrzało przez przepalone szyby okienka, ale pan Wawrzyniec i niewiasta jego byli wytrwali i nie dali się biedzie. Dwóch synków było im bodźcem do pracy, więc furmanił pan Piętka, a pani Piętkowa wynajmowała się do prania i szorowania podłóg; — gdy jednak choroba ją z nóg powaliła, Wawrzyniec postarzał się od razu o lat dziesięć i gnębił się i trapił.

Pewnej nocy Piętkowa zmarła, a gdy wczesnym rankiem smutna ta nowina rozeszła się po naszym małym światku i wyjrzałem do sieni — spostrzegłem pana Wawrzyńca we łzach całego, pokornie rozmawiającego z panem Judką Cymermanem, bankierem naszej dzielnicy i miejscowym „dobroczyńcą ludzkości“ wygadzającym na procenty, których rozmiary nie dawały się stanowczo określić.

Zamknąłem szybko drzwi, nie chcąc przeszkadzać w chwili



Papież Pius X.
udzielający błogosławieństwa.

doniosłej ugody handlowej, ale później dopiero dowiedziałem się, że Piętka pożyczył od Cymermana 25 rubli na pogrzeb nieboszczki.

Pochowaliśmy Piętkową, dzięki temu przyzwoicie i nadal żywot wlókł się dawnym trybem. Piętka woził gruz i wapno, ja uczyłem jego chłopców i tak mijały dnie, miesiące i lata...

W dwa lata jakoś po śmierci Wawrzyńcowej, zaledwie słońce musnęło swym pocałunkiem ziemię, pan Piętka wszedł do mojej izby, ale tak był blady, że mnie istotnie przeraził.

W zamglonym wzroku miał łzy, ręce mu drżały i chwiał się na nogach; chciał coś mówić, ale nie mógł widocznie, gdyż poruszał tylko konwulsyjnie wargami.

Posunąłem mu krzesło, na które ciężko upadł, ukrył twarz w dłoniach i ciężko oddychał. Nie śmiałem go o nic pytać, przeczuwałem jakieś nieszczęście.

Ocknął się wreszcie i rzekł:

— Szkapę zastrzeliłem...

— Jakto? — zapytałem. — Dlaczego?

— Gdym nocą wracał z cegielni, potknęło się szkapsko o kupę kamieni, padła i złamała obie przednie nogi. Nie mogłem patrzyć na męczarnię zwierzęcia, aby więc chwilowo choć ulżyć puściłem jej krew z pęciu, a sam pobiegłem do Antka gajowego, po dubeltówkę... Gdym przybył, szkapa jeszcze chrapała. Wymierzyłem prosto w łeb i dobiłem...

Mówił to z nieopisaną rozpaczą, płacząc, jak po utracie najdroższego skarbu.

Istotnie tak było.

Koń ten był całym majątkiem Wawrzyńca, był jego i jego dzieci chlebodawcą, dobrodziejem.

Gdy pan Piętka uspokoił się nieco, zapytałem go łagodnie:

— Cóż teraz będzie? Trzeba coś zaradzić...

— Ba! Radzić? Kupić inną szkapę bez zwłoki i tyle. Mam trochę uciułanego grosza, może ze czterdzieści rubli, Judce muszę dług zapłacić, bo już wyrok ma na mnie i chce sekwestrować.

— A ileż mu pan winien?

— Wyrok ma na sześćdziesiąt ośm z kosztami, ale powiada że teraz już przeszło siedemdziesiąt pięć rubli będzie. Czekać nie chce.

— Jakto? Przecież tylko dwadzieścia pięć rubli pożyczyłeś pan od niego?

— No, tak... Ale przez dwa lata nie spłacałem, jeno coraz to nowe kwitki wystawiałem... Procenty rosły a rosły, aż tyle się zebrało.

— Ależto niemożliwe! To przerażająca lichwa, rozbój! — zawołałem oburzony.

— Ha! cóż robić, jak się wpadło w żydowskie krogulcze pazury, to trza zginąć... Gdyby można odwlec choć na parę tygodni licytacyę, tobym może coś zaradził, możebym gdzie pożyczył i żyda spłacił. Ale Juda zawzięty i czekać nie chce... Ot, — rzekł — wskazując ręką w okno, wychodzące na dziedziniec, — masz go pan, już jest...

Spojrzałem w okno i istotnie ujrzałem pana Judkę Cymermana, rozglądającego się po podwórzu ze zdziwieniem, iż Piętkowe wozy oba dotychczas stoją nieruchome.

Gdy pan Judka Cymerman badał sytuacyę drapiąc się pod jarmołką, wygrzewający się leniwie na słońcu, mój buldok »Żoko« podniósł łeb do góry, poczem wstał, chyłkiem zbliżył się do skraju chałata miejscowego bankiera, i wyszczerzając dwa szpiczaste, białe kły, warknął przeraźliwie.

Pan Judka Cymerman ocknął się z zadumy, wyciągnął przed siebie trzcinową grubą laskę, wyprawiając nią wirowo-wahadłowe ruchy i mrucząc: ajwaj!

Śmieliśmy się z Piętką do rozpuku, wiedząc, że mój Żoko z lenistwa i otyłości był psem spokojnym, jednakże ruchy kija przestraszonego żyda, najwyraźniej wyprowadziły buldoka ze stanu nieczułości i przyprowadziły w taki gniew, że w chwili gdy ja stanąłem na progu drzwi sieni, aby uwolnić pana Cymermana od zębatego wroga, ten uścisnął go kłami za łydkę.

Gewałt! ryknął żyd... gewałt! oj waj, gewałt!

Żoko tu! zawołałem, a buldok, sapiąc, cofnął się i najspokojniej położył się na słońcu.

Awa! awa! to pańskie pies, te złe pies? To szlicnie! Un mnie ukąszał w nogie z wielgiem zębem, un mnie zrobiał dźurę w spodnie i w hałat... Ja lecę do pan burmistrz, do sąd, pan mi zato zapłaci!

I krzycząc „gewałt“ biegł pan Judka jak szalony. Powróciłem do pokoju, a gdym spojrzał na zachmurzonego Piętkę, przyszła mi pewna wyborna myśl do głowy.

Porwałem szybko laskę i kapelusz i rzekłem do Wawrzyńca:

— Panie Piętka! Nie traćmy chwili czasu, mam dobrą myśl, licytacyę pańską odwleczemy na dłużej.

Wybiegliśmy i podążyliśmy wprost do magistratu. Tam zastaliśmy już tłum żydów różnego wieku, i Judkę z płaczem i krzykiem rozpowiadającego o wypadku. Aj waj! Un miał taki wielki ząb! Taki! mówił pokazując rękę po łokieć. Jaż strach miszlecz, taki pies jak całe krowe... aj waj! wielgi pies.

— Przepraszam — przerwałem — pan Cymerman ma zupełną słuszność, pies to istotnie wielki. Jest jednakże ważniejsza kwestya, mój pies, który pokąsał pana Judkę był wściekły...

— Gewałt!... ge...w... — ryknął bankier i nie mogąc dokończyć wyrazu, upadł na ławkę, zwijając pod siebie bolącą nogę, tak kurczowym ruchem, że wszyscy przerażeni współwiercy drapnęli tłumnie.

— Pies mój, zeznałem dalej, pokąsał właśnie nad ranem konia pana Piętki, który natychmiast wystrzałem z dubeltówki szkapę zastrzelił, a ja psa do Warszawy wysłałem.

Judka już nic nie słyszał, tylko ryczał przeraźliwie, a wówczas ja, jako właściciel psa, odezwałem się znowu:

— Mojem zdaniem należałoby odesłać tego żyda do szpitala na wybadanie natychmiast, potem może być za późno...

Jakoż za chwilę, dwaj stróże z trwogą ujęli Judkę pod pachy i wywiedli z sali, a następnie odprowadzili do szpitala.

Wieść piorunem rozeszła się w mieście pomiędzy żydkami, a najpierw naturalnie doszła do pani Sury Cymermanowej, dwóch jej synów zajmujących się szwindlem i trzech córeczek robiących pończochy. Rozpacz w rodzinie była tak wielka, że cała familia nie była wpuszczona do »wszczeknięty tate«, zeszła na miejsce wypadku, to jest do mnie z płaczem, lamentami i prośbami o opowiedzenie »jak to buło?«

— Moja pani, — rzekłem do Sury, — źli ludzie, źle kończą. Pani mąż gryzł ludzi, pies się na nim zemścił. Już on się z tego nie wyliże...

Tydzień minął, a Judka ciągle siedział samotny w osobnej celi miejskiego szpitala, aż znów pani Sura z rodziną zeszła do mnie.

— Niech pan poradzi co... jemu tam leczą i palą nogę,

z piekielny kamień, co un już jest taki chudy jak igła... Niech pan co poradzi!

— Cóż tu radzić, — rzekłem, — ukarany został przez los, właśnie w miejscu, gdzie popełnił oszustwo.

— Jakie oszustwo?

— Chciał zrujnować biedaka, biorąc za pożyczone mu dwadzieścia pięć rubli aż siedemdziesiąt... Los sam nałożył na niego »herim« przekleństwo.

— Aj waj! aj waj!... — jęczała Cymermanowa, a po chwili namysłu rzekła: — Aj waj! to niech już ten Piętka da... pięćdziesiąt pięć rublów, to może to co Judele pomoże.

— Pomoże zapewne tylko wówczas, gdy weźmiecie trzydzieści rubli, zaręczam wam, słowo daję, a Juda ze szpitala zdrów wyjdzie.

Żydówka zsiniała z rozpaczy, godzinę się targowała, aż wreszcie trzydzieści rubli wzięła i kwit mi oddała do ręki.

Tegoż dnia Judka Cymerman wyszedł ze szpitala z wygojoną nogą, bo inaczej być nie mogło, gdyż kolega mój doktor tylko wskutek moich prośb zgodził się trzymać go jako chorego.

Judka do dziś dnia ma przydomek »wściekłego«, pan Wawrzyniec Piętka ma już parę tęgich szkap i rozwozi cegłę i wapno dwoma wozami.

O zatrudnieniu i długowieczności.

Średniowieczni poszukiwacze złota długi czas mozolili się daremnie nad wynalezieniem kamienia mądrości, któryby nieszlachetne metale zamieniał w złoto i przedłużał życie ludzkie.

I dzisiaj jeszcze marzą ludzie o jednem i o drugiem, jednak używają innych środków i nikt dzisiaj nie wyczekuje już sławnego „elixiru“, albo czerwonej „tynktury“ w celu nabycia bogactw, albo przedłużenia żywota. Ludzie wiedzą już, że niektóre przyczyny chorób lub przedwczesnej śmierci dadzą się usunąć i jeżeli korzystają z tego i rozsądnie prowadzą życie, mogą uniknąć wielu szkodliwych wpływów i o pewną część przedłużyć żywot.

Jak długo trwa właściwe życie ludzkie, czyli innemi słowy, jakie granice wytknęła mu natura? Odpowiedź na to daje nam Pismo św. w 90 psalmie, gdzie mówi: »nasze życie trwa lat 70, czasem nawet 80« a w księdze Jezusa Sirach powiada: »Jeżeli człowiek żyje długo, to żyje lat 100«. W rzeczy samej i dzisiaj jeszcze 80 do 100 lat można podać jako granice najdłuższego życia. Wprawdzie dzisiaj o wiele mniej znachodzimy stuletnich starców, aniżeli głoszą wieści, albowiem ludzie, w celu wzbudzenia litości u bliźnich, przydają sobie kilka, a nawet kilkanaście lat wieku, jednakowoż pewną jest rzeczą, że się da przedłużyć życie w obrębie wytkniętych mu granic i obowiązkiem jest publicznych urzędów zdrowia łożyć starania w celu przedłużenia takowego, bądźto przez ostrzeganie ludzi przed niebezpieczeństwami dla zdrowia, bądź też przez usuwanie takowych.

Z pomiędzy wpływów na przeciętny wiek ludzki w pewnym narodzie, pierwsze miejsce bez wątpienia zajmuje śmiertelność dzieci. We Francyi przeciętna liczba śmiertelności w pierwszym roku życia wynosi 20 procent, ale z pomiędzy 20.000 dzieci, które Paryż co roku wysyła na wieś w celu pielęgnowania, umiera 15.000 czyli 75 prc. przed ukończeniem pierwszego roku

życia. Zwyczaj ten barbarzyński zaledwo nędza usprawiedliwić może, a jednak niestety — nawet znakomite rodziny wysyłają swe niemowlęta na wieś.

W Anglii, gdzie matki dają dzieciom opium, aby spały spokojnie aż do ich powrotu od pracy, umiera rocznie 20.000 dzieci na choroby kurczowe t. j. 35 dzieci na 1000 mieszkańców.

Znaną jest także rzeczą, że stosunki mieszkalne wywierają również wielki wpływ na śmiertelność i trwałość życia. Według sprawozdania Adolfa Vogta umiera w Bernie na 1.000 mieszkańców, zamieszkujących cienistą stronę ulic 20, po stronie zaś ulic, gdzie świeci słońce, tylko 25 na 1000.

Największy jednak wpływ na śmiertelność wywiera zajęcie. W ogólności zdaje się, że rzemiosło w porównaniu z innemi zajęciami nie wywiera szkodliwego wpływu na trwałość życia. Atoli, porównując pojedyncze gałęzie rzemiosła i pojedyncze fachy, znajdujemy nadzwyczajne różnice co do średniego wieku życia. Robotnicy pracujący przeważnie pod gołem niebem, żyją przeciętnie dłużej, aniżeli ci, którzy pracują w zamkniętych miejscach. Tak np. w Pradze z pomiędzy dorożkarzy umiera na suchoty 35 procent, cieśli 37 pr. na 1000, podczas gdy podstępna ta choroba zabiera 71 pr. rękawiczników i pozłotników. Cyfry te przekonywują nas dosadnie, iż trwałość życia zależy od rodzaju zajęcia. Tu dodać także należy inne okoliczności, jak np. stopień dobrobytu, życie, jakie człowiek prowadzi w godzinach wolnych od pracy itp.

Szczególniej niebezpieczne dla zdrowia są takie zajęcia, które wymagają ustawicznego przebywania w prochu mineralnym, albo mącznym. Nie wielu kamieniarzy osięga rzeczywisty wiek życia, gdyż prawie wszyscy umierają na suchoty. Z pomiędzy 3199 kamieniarzy — wykazało badanie statystyczne — tylko 8 było wypadków śmierci z innych przyczyn.

Przeciętny wiek tychże kamieniarzy wynosił tylko 37 lat. Podobne wyniki podaje statystyka u robotników obrabiających kamienie młyńskie. Przyczyną tego dziesiątkowania jest wdychanie piasku i cząstek krzemiennych, tudzież zniszczenia, jakie te ciałka sprawiają w płucach robotników. To samo niebezpieczeństwo grozi robotnikom zatrudnionym w kamieniołomach, szlifującym porcelanę i górnikom. Robotnicy, którzy sortują pierze do łóżek, trzepią lub czyszczą — przez wciąganie w siebie ulatujących cząstek również zapadają na suchoty

To samo można powiedzieć o robotnikach polerujących lustra, trących farby itp. Najniebezpieczniejszą atoli jest praca szczotkarzy. Wskutek czyszczenia i czesania szczotek, następnie wskutek obcinania i równania włosów powstaje gęsty pył, który organom oddechowym szkodzi tak dalece, iż na 100 chorych szczotkarzy w jednem mieście umiera 49 na suchoty. Kapelusznicy również są w niebezpieczeństwie. W fabrykach sukna przez strzyżenie włókien owczych powstaje drobny pyłek i podczas gdy sukiennicy przeciętnie są zdrowi ludzie, pomiędzy tymi, którzy strzygą sukno, jedna czwarta choruje na piersi. Zpomiędzy 100 młynarzy około 40 proc. cierpi na brak oddechu. Wprawdzie pył mączny nie niszczy organów oddechowych, atoli pobudza je do ustawicznego kaszlu, przez co z czasem osłabia płuca.

Przy wszystkich powyższych zajęciach, które wystawione są na niebezpieczeństwo z powodu nieuniknionego wciągania w siebie pyłu, niezbędne są środki ostrożności, jako to: respiratory i wentylatory. Przez zastosowanie takowych w racyonalny sposób, można się spodziewać mniejszej śmiertelności. A więc przedewszystkiem świeżego powietrza!

Woda i jej użyteczność.

Obowiązkiem, a zarazem przyjemnością człowieka myślącego jest zastanawiać się nad tem, co go otacza, czem go Opatrzność ubogaciła na ziemi. Poznając dary Boże, uczymy się je cenić, a zarazem pobudzamy się do wdzięczności dla Stwórcy i Pana naszego, który tak wszystko mądrze i pięknie na świecie urządził i tak nas we wszystko uposażył. Przypatrzmy się więc bardzo użytecznemu żywiołowi — wodzie. Któż nie zna wody i któżby się dzień jeden bez niej obyć potrafił?

Woda jest wielkiem i osobliwszem dobrodziejstwem Bożem, bez którego nicby na świecie żyć nie mogło. Woda skrapia i zasila pola nasze, orzeźwia, skwary letnie, zaspakaja pragnienie, utrzymuje życie ludzi, zwierząt i roślin. Bez wody wszystkoby wymarło i wyschło na ziemi, zielone niwy stałyby się spiekłemi, skalistemi pustyniami, kwitnące wioski i miasta obróciłyby się w perzynę, gdyby im wody zabrakło. Wody potrzebujemy do picia, gotowania, prania, pieczenia i t. d. Woda nadto pomaga nam w pracy: porusza koła we młynie i różne maszyny, a zamieniając się w parę, popycha koleje żelazne, przeróżne machiny parowe, a nawet ogrzewa mieszkania. Woda przeto jest dobrodziejstwem, które się niczem innem zastąpić nie da.

Wody na świecie jest tak wiele, że zajmuje ona prawie trzy czwarte części ziemi, a znajduje się nietylko na jej powierzchni: w morzach, rzekach, jeziorach i t. d. ale jest także w głębi ziemi i w powietrzu. Woda składa się z kwasorodu i wodorodu, jest ciekłą, czyli płynną i przeźroczystą. Woda do picia nie ma żadnego koloru, zapachu, ani smaku, taka czysta woda zowie się *słodka*. Są wody, w których się znajdują pewne części mineralne np. żelazo, sól, siarka i t. d. i takie nazywają się *mineralnemi*, służą ludziom do kąpieli, lub do picia w różnych chorobach. W morzach znowu i w niektórych jeziorach woda jest gorżko-słona i do użytku niezdatna, a to także wkutek rozpuszczonych w niej substancyi, które jednak nie przeszka-

dzają wielu stworzeniom żyć w niej i rosnąć, od najmniejszego począwszy owadu, aż do olbrzymiego potworu morskiego — wieloryba.

Zarówno w morzu, jak i w rzekach żyją niezliczone gatunki ryb, płazów i zwierząt wodnych, z których ludzie mają pożywienie, lub też i inne, a przeróżne ciągną pożytki.

Woda ulega rozmaitym zmianom: pod działaniem zimna zamienia się w lód, a pod działaniem ciepła — w parę. W obu tych postaciach zarówno przynosi nieobliczone korzyści.

W mroźnych krainach podbiegunowych lód służy za główny, a bardzo często jedyny materyał do budowy mieszkań ludzkich, zabezpiecza je od zimna i zabójczych, mroźnych wiatrów. Lód okrywający boki i wierzchołki gór chłodzi w porze letniej powietrze i oziębiając je, zmusza niejako do rozejścia się po równinach, gdzie zwykle upały panują. Lody topniejące w okolicach podbiegunowych, czy też w pasmach gór w innych strefach, ochładzają całą kulę ziemską w czasie skwarów letnich, zwłaszcza w gorącym jej pasie, gdy upały byłyby nie do zniesienia. Przytem lód ciągle topniejąc od spodu, bez ustanku wytwarza wodę, która łożyskiem rzek spływając, zapobiega ich wyschnięciu i w czasie posuchy zasila ludzi, zwierzęta i rośliny.

Może najważniejszą, a najogólniejszą korzyścią z lodu jest ta, że stanowi on twarde pokrycie wód powierzchni w czasie zimy. Przez to zabezpiecza on wodę w morzach i rzekach od mroźnych wiatrów, któreby ją z łatwością zamrozić mogły aż do dna i zniszczyć w niej wszystkie twory żyjące, a mianowicie ryby, których mnóstwo utrzymuje się w porze zimowej zarówno w krajach umiarkowanych, jak i podbiegunowych.

Obok tych ogólnych, olbrzymich korzyści, lód i w przemyśle ludzkim niemałe oddaje usługi. Tworząc naturalne mosty na rzekach i jeziorach, ułatwia komunikacye i stosunki ludzkie, handel i przewóz towarów. Przechowywany w ziemi w lodowniach, lub w miejscach zabezpieczonych od przystępu ciepła, pozwala utrzymać przez czas dłuższy różne rzeczy do pożywienia służące, które w cieple ulegają zepsuciu. Służy także do urządzania różnych chłodników w czasie lata, do oziębiania napojów i do użytku lekarskiego np. na okłady zimne i nacierania.

W. G.

Z życia Ojca św. Piusa X.

Postać Papieża jest wybitna i w oczy się rzucająca; jego zachowanie się pełne ojcowskiej dobroci i słodyczy. Jest on równie dobrym ojcem dla bogatych i biednych. Najczęstszem jego przysłowiem jest zdanie: „Przed Bogiem są wszyscy ludzie równi“.

Gdy pewnego dnia pewne szlacheckie opactwo wybrało swym opatem mieszczanina zamiast szlachcica, udała się do Ojca św. deputacya z protestem przeciw wyborowi. Papież zawiadomiony o życzeniach deputacyi przyjął ją bardzo łaskawie. Z początku żaden z przybyłych nie miał śmiałości przedłożyć Papieżowi zamierzonego protestu, — gdy wreszcie jeden z deputacyi prosił o unieważnienie wyboru opata, Papież odpowiedział: »Było raz biedne włościańskie dziecko, które musiało dla oszczędności butów — boso, z kawałkiem chleba w kieszeni chodzić do gimnazyum o godzinę drogi oddalonego.

Chłopiec ów ukończył gimnazyum z odznaczeniem, wyświęconym został na kapłana, został wikaryuszem, potem proboszczem, dziekanem, profesorem seminaryum, kanonikiem, nakoniec biskupem, kardynałem-patryarchą, a z kardynała-patryarchy — Papieżem. Gdy więc wasz Papież nie był szlachcicem, to nie potrzebuje nim być również wasz opat«. Słowa Papieża wywarły wielkie wrażenie na członków deputacyi, którzy też zadowoleni odjechali — z niczem — do domu.

Papież jest wielkim przyjacielem dzieci i poświęca im podczas udzielonego posłuchania wiele uwagi. Także innowiercy dopuszczani bywają na posłuchania. Pius X. nie zna różnicy między ludźmi, pełen dobroci dla wszystkich.

Mimo ciężkiego swego urzędu Papież zachowuje humor i wesołość. Gdy go pewnego razu jeden stary znajomy zapytał o sposób życia i wyraził obawę o jego zdrowie, Papież odrzekł z uśmiechem: »Nie bój się o mnie, żyję spokojnie i regularnie. W nocy nie włóczę się po kawiarniach, śpię dobrze, a wskutek tego i tu w Rzymie jestem zdrowy«.

Ojciec św. jest niezwykle dobroczynnym i oddaje biednym ostatnie grosze. Gdy mu z tego powodu robiono przedstawienia i mówiono, że gdy tak dalej pójdzie, nie będzie miał co włożyć na siebie, odpowiedział, że go to nic nie obchodzi. »Zbawiciel Jezus był biednym, tem bardziej więc Papież nie powinien dbać o majątek«. — Papież jest również wielkim miłośnikiem sztuk pięknych i uchodzi za dobrego ich znawcę i protektora.

Obok muzyki, którą sam uprawia, interesuje się malarstwem i dawał nieraz sam myśl malarzom do tworzenia. Papież włada językami: niemieckim, włoskim i francuskim, tym ostatnim najwięcej się posługuje. Wiedza naukowa Papieża, zwłaszcza w prawie kościelnem, jest głęboką i gruntowną.

Kto tylko miał sposobność wejść w styczność z Piusem X musi go cenić nietylko jako głowę Kościoła, ale jako szlachetnego człowieka, kryjącego w sobie wszystkie cnoty, które go uzdalniają do sprawowania odpowiedzialnego urzędu«.

Obecnie liczy Pius X. 74 lata i obaj lekarze przyboczni dr. Marchia-Fava i Petacci przepowiadają mu długie życie. Gdyby się te przepowiednie spełniły, po raz trzeci obchodziłby świat katolicki (po Piusie IX i Leonie XIII) 25-letni jubileusz papieztwa.

Krzyżackie brody.

Opowiadanie z dawnych czasów.

W kościele katedralnym na Wawelu panował ruch niezwykły — mimo iż nabożeństwo dawno się już skończyło.

Wynoszono kosztowne naczynia złote i srebrne ze skarbca i zdobiono nimi ołtarze. Drogie kobierce rozwieszano na ścianach świątyni, oczyszczano z kurzu i odświeżano różne przedmioty.

Te nadzwyczajne przygotowania czyniono na dzień koronacyi pierwszej małżonki Zygmunta Starego, królowej Barbary Zapolskiej — a było to w r. 1512. Chociaż kościół zamknięto dla natrętów z powodu przygotowań, mimo to dwa cienie ludzkie wślizgnęły się niepostrzeżenie w progi świątyni.

Byli to dworzanie przybyłych na gody weselne, sąsiednich książąt. Jeden z nich ubrany w bogaty strój węgierski, ugiął kornie kolana i pogrążył się w cichej modlitwie; drugi zaś to hardy krzyżak, a chociaż w płaszczu zakonnym, nie przeżegnał się nawet, lecz z głową dumnie do góry wzniesioną, podążył ku ołtarzowi, kryjącemu relikwie św. Stanisława.

Obydwaj cudzoziemcy ciekawi byli ujrzeć co rychlej sławną katedrę Wawelską, o której cuda opowiadano w ich krajach. Lecz podczas gdy pierwszy uczcił najprzód przybytek Boży — drugiego paliła prosta tylko ciekawość.

Rudobrody rycerz krzyżacki, znalazłszy się w sławnem miejscu, spojrzał uważnie na grobowiec, a wzrok jego zapłonął wściekłością i oburzeniem.

Co było tego przyczyną? Wszakżeż ołtarze Pańskie, poważne i wspaniałe, nie zapaliły gniewu takiego w piersi krzyżaka. O nie — one nie zwróciły teraz jego uwagi, ani nie wywołały w duszy rycerza zakonu, pobożnego uczucia. Ale u grobu Patrona Polski ujrzał coś, co ścięło mu krew w żyłach i byłby wydał okrzyk oburzenia i grozy, gdyby się dość wcześnie nie spostrzegł i nie zapanował całą siłą nad sobą.

Więc prawdą było to, co opowiadano mu od dzieciństwa

samego, czem karmiono go później, a co opisywały pruskie, znane z swej dokładności kroniki.

Czy może widok proporców zdobytych na krzyżackim zakonie wydał mu się zniewagą taką?

I to nie — obojętną mu bowiem była sława dogorywającego obecnie zakonu, on marzył raczej o zrzuceniu zakonnego płaszcza ze znakiem czarnego krzyża — o szukaniu pięknej żony i życiu wesołem, swobodnem. Lecz widok u grobu męczennika nabawił go lękiem o całość własnej skóry. Ujrzał nareszcie to, co znanem mu było dotychczas tylko z podania.

Obok chorągwi krzyżackich, wisiały poobdzierane im w bitwie pod Grunwaldem brody, czarne, siwe i rude — pooddzierane ze skórą Wielkiemu mistrzowi oraz poległym komturom.

Strach i groza odbiły się na twarzy jego pobladłej, rozejrzał się trwożnie do koła, czy nie ujrzy w tej chwili kogo z czyhających na jego życie. Nie czuł się już bezpiecznym w tej stolicy barbarzyńskiego narodu, który wrogom brodę z skórą odarłszy, zawiesza następnie jako wotum w swojej świątyni.

Zmarszczywszy brew — pochwycił się bezwiednie za rudą długą brodę jakby ją osłonić chciał przed niebezpieczeństwem, a złość bezsilna i chęć zemsty miotały nim naprzemian.

Wybiegł bezprzytomny prawie i potrącił niechcąco, klęczącego jeszcze u drzwi Węgra. Duszno mu było w tej ponurej, jak mu się zdawało świątyni, pragnął odetchnąć swobodniej.

Nie on to pierwszy, opuszczał Katedrę w Krakowie z oburzeniem, wielu przed nim Krzyżaków czyniło to samo.

Podanie krążące u nich od dawna ciągnęło ich, za przybyciem do stolicy polskiej, by ujrzeć na własne oczy brody nieszczęśliwych ziomków.

Opuściwszy kościół drżąc na całem ciele nasz krzyżak, zapragnął co rychlej wynurzyć się przed kimś.

Udał się przeto do swego rodaka, Ludwika Deciusza — osiadłego w Polsce oddawna, obecnie sekretarza króla Zygmunta Starego. Deciusz pomny dobrodziejstw doznanych w nowej ojczyźnie, oddany jej był duszą i ciałem. To też śmiało bronił miłego mu kraju i narodu.

Znając go krzyżak nie śmiał powstać odrazu na zdziczenie Polaków — ale szedł do celu po swojemu, obłudnie, chwaląc wprzód obyczaje, gościnność i bogactwa narodu.

— Wiesz co im tylko ubliża i rozjątrza umysły cudzoziemców, a nawet niebezpiecznych gotuje Polsce wrogów?

— Cóż to takiego? Nie rozumiem o czem chcesz mówić — zapytał Deciusz.

— O naszych brodach w kościele...

— O jakich brodach?...

— No o brodach Wielkiego mistrza i komturów poległych pod Grunwaldem, a które rozwieszono u grobu św. Stanisława.

Deciusz wybuchnął śmiechem — a krzyżak zawołał z gniewem: Drwisz więc z nieszczęścia twoich ziomków?

Deciusz nie mogąc się uspokoić śmiał się ciągle, co w końcu zmieszało i zniecierpliwiło jego towarzysza.

— Zechcesz może wmówić we mnie, że to nie brody — ale ja nie wierzę — byłem tam i oglądałem je z bliska — boć przecież cóż by to było innego?

— Co? mówił powoli sekretarz królewski, ubawiony tą całą zabawną sceną — powiem ci zatem. Są to buńczuki tatarskie i ozdoby rzędów końskich, ułożone z różnych końskich włosienic. Chanowie tatarscy ozdabiają nimi szyje swoich wierzchowców, od uzdy aż do siodła. Ozdoby te składali Polacy po każdem zwycięstwie nad poganami wraz z zdobytemi chorągwiami w ofierze Bogu i swemu Patronowi. Krzyżak spojrzał na niego z niedowierzaniem — a ten pobudzony na nowo do śmiechu ciągnął dalej.

— Zapewniam cię, że tak jest w istocie; w moich bowiem oczach zawieszono po powrocie z wojny nie jedną taką taśmę różnowłosową na ołtarzu św. Stanisława, gdyż ich wówczas co nie miara na tatarzynie zdobyto. Nie krzywdź więc tak haniebnem podejrzeniem uczciwego narodu i nie obawiaj się na próżno o siebie. Niemiec zawstydzony odszedł od swego spolszczonego rodaka, mimo to bajki o brodach krzyżackich długo jeszcze pomiędzy Prusakami krążyły.

Kominiarczyk królewski.

Król Stanisław August Poniatowski, przeszło sto lat temu panujący, był ostatnim królem Polski. Co zrobił dobrego dla naszego kraju i znowu ile mu swemi rządami przyniósł nieszczęść i klęsk — nie tu mówić nam o tem. My tutaj tylko opowiemy o zdarzeniu chłopca kominiarskiego, jakiego tenże doznał, czyszcząc kominy w pałacu letnim Stanisława Augusta w tak nazwanych „Łazienkach“ pod Warszawą.

Stanisław Poniatowski, jako król zamieszkiwał w ówczesnej stolicy Rzeczypospolitej, w Warszawie na zamku królewskim, który dziś służy za mieszkanie dla generałów-gubernatorów rosyjskich, rządzących z ramienia cara w Polsce. Oprócz tej stałej rezydencyi urządził Stanisław August pod Warszawą we wspomnianych »Łazienkach« letnie mieszkanie, które — ze względu na swe położenie, swe sztucznie urządzone ogrody, stawy, po których pływały łabędzie, i inne pozaprowadzane przez króla upiększenia — rzeczywiście stały się siedzibą pańską, iście królewską.

Tutaj od maja każdego roku przenosił się z zamku warszawskiego Stanisław August i przez parę miesięcy, bo do początku września mieszkał, zapominając o trudach swego panowania, przypominając je sobie wtedy tylko, gdy jakaś nagła sprawa zmusiła go do opuszczenia Łazienek i udania się do Warszawy.

Jednego dnia letniego, w czasie takiego pobytu w Łazienkach, król znużony panującym upałem, zapragnął wytchnąć i spocząć. Udał się więc do swojej sypialni, która była obszerną komnatą ozdobioną prześlicznie, pełną kosztownych malowideł i cennych przedmiotów.

Król przed spoczynkiem pozdejmował z siebie wszelkie ozdoby, jakie nosił na sobie, położywszy je na stoliku, stojącym wprost królewskiego łoża, pod jednem z licznych w tym pokoju zwierciadeł.

Następnie udał się za parawan oszklony. Tu się położył i usnął.

Jak długo trwał sen króla — trudno oznaczyć, dość, że Stanisława Augusta zbudził jakiś szmer, pochodzący z kominka, który naprzeciw okien komnaty królewskiej się znajdował. Poniatowski, zaniepokojony tym szelestem i chcąc zbadać przyczynę jego, nachylił się z łoża do parawanu, a przez szyby w nim będące, ukryty za firankami, spojrzał na pokój.

Co ujrzał?... Oto z komina wystawały na pokój nogi, należące widocznie do kilkunastoletniego chłopca, odziane w usmolone czarne spodnie; nogi te zsuwały się z komina na komnatę, a powoli, powoli wysunął się tułów i głowa — słowem cała postać czternastoletniego kominiarskiego chłopca. Dostawszy się do tak wspaniałej komnaty, chłopiec widocznie był olśniony jej bogactwem rozsianem dokoła, gdyż zdjął czapkę, przykląkł przed obrazami i przeżegnał się pobożnie.

Król w spokoju, tłumiąc w sobie uśmiech na widok pomieszania kominiarczyka, patrzał dalej co będzie.

Kominiarczyk tymczasem, pozdrowiwszy w ten sposób obrazy, które mu się wydawały świętemi, zaczął się dalej rozglądać po pokoju. Zachwycony przepychem, jaki w nim panował, wszystko oglądał, podziwiał, wszystkiego dotknął, pomacał, jakby chcąc się przekonać, czy nie we śnie mu się to wszystko jawi. Wreszcie podszedł do stolika, na którym leżały niedawno przedtem zdjęte przez króla ordery, łańcuchy złote, pierścienie, zegarki i tym podobne rzeczy. Zabłysło jakąś dziecinną uciechą oko kominiarczyka na widok tych kosztowności. Zbliżył się do stolika, poprzypinał sobie na piersiach ordery, włożył na szyję łańcuch złocisty, powkładał na palce pierścienie i tak ozdobiony zaczął przed zwierciadłem wyrabiać różne ucieszne miny. Wreszcie, widać zadowolony z tego dostojeństwa, jakiego oznaki miał teraz na sobie, ukłonił się sam do zwierciadła po kilkakroć, uchylając w czasie ukłonów kominiarską czapkę z głowy.

Niewidzialny ciągle dla kominiarczyka król za parawanem wszelkimi sposobami tłumił śmiech, aby nie zdradzić swojej obecności i nie przestraszyć tak szczęśliwego teraz kominiarskiego chłopca.

Nacieszywszy się dostatecznie widokiem swojej osoby, tak wspaniale teraz przyozdobionej, kominiarczyk pozdejmował z siebie kosztowności, poukładał je na ich poprzedniem miejscu

i znowu zdjąwszy czapkę i przeżegnawszy się, jak przy wejściu na pokój, wlazł do komina i zwykłym sobie sposobem dostał się na dach pałacu.

Dopiero teraz król powstał z łoża i głośnym wybuchnął śmiechem, przypominając sobie co dopiero widzianą scenę.

Przywoławszy swego kamerdynera Ryxa, polecił mu, aby się wywiedział o chłopcu kominiarskim, który czyścił komin w sypialni królewskiej i aby nazajutrz rano mu tego chłopca przedstawił.

Słowa królewskie były rozkazem, który najskrupulatniej wypełnionym został.

Nazajutrz w porannych godzinach przystawiono przed Stanisława Augusta kominiarczyka. Chłopiec zbladł z przestrachu, w obawie, czy go nie posądzą o kradzież jakiej kosztowności królewskiej. Nabrał jednak odwagi, ujrzawszy oblicze królewskie nie groźne, ale natomiast jaśniejące przychylnym i łaskawym uśmiechem.

Stanisław August zbliżył się do klęczącego przed nim chłopca, pogłaskał go parę razy po twarzy, polecił wstać ze ziemi i oświadczył mu, że wczoraj widział go z za parawanu jak się ubierał w kosztowności królewskie.

Chłopiec pobladł znowu i składając ręce przed królem, rzekł:

— Najjaśniejszy królu, prawda, żem się w te rzeczy ubierał, alem wszystko napowrót pokładł w swem miejscu.

— Ja nie mówię, abyś miał sobie przywłaszczyć — rzekł król. — Podobałeś mi się i chcę z ciebie zrobić człowieka.

Tu rozpytał król o jego rodzinę, a dowiedziawszy się, że to biedni ludzie, kazał wypłacić im pewną kwotę. Kominiarczyka zaś wziął na swój dwór, polecił go uczyć, a następnie oddać do szkoły królewskich kadetów.

W kilkanaście lat później »królewski kominiarczyk« odznaczył się jako bardzo zdolny oficer, uczestniczący w wyprawach Kościuszki przeciw Moskwie.

Gdzie szczęście?

W podaniach ludów wschodnich znajdujemy następującą historyę:

Pewien potężny król Wschodu zachorował. Próbowano różnych leków, znoszono zioła o cudownej, uzdrawiającej mocy, ale niestety nic nie pomagało. Pan kraju, co sięgał od morza do morza, którego woli ulegało wszystko, co żyło w jego państwie, po raz pierwszy w życiu uczuł, że potęga jego i władza mają kres. Choroba stawała się z dniem każdym groźniejszą, miał się coraz gorzej i gorzej.

Zebrali się derwisze, kapłani pogańscy, zebrali mędrce narodu, radzą długo, tajemnie, siwe pochylając głowy; radzą i uradzili, że jedna rzecz tylko monarsze zdrowie powrócić zdoła, mianowicie, jeśli-go obleką w koszulę szczęśliwego człowieka.

Wyruszyli gońce w cztery strony świata, na północ, na południe, na zachód, na wschód, wyruszyli rycerze i dworscy paziowie i szukają, szukają szczęśliwego człowieka.

Minął miesiąc, drugi i trzeci, z czterech stron wracają z troską na czole. Niestety, nigdzie, na ziemi całej, nie znaleźli ani jednego szczęśliwego człowieka.

Ale oto gdy się zbliżają do pałacu, aby panu tę smutną zwiastować nowinę, słyszą z dala piosenkę.

Piosnka wesoła, znać z lekkiej wyszła piersi: od pól szerokich, do szarej gleby, wiatr ją na swych skrzydłach unosi.

Stanęli rycerze, stanęli dworscy paziowie i patrzą i słuchają, zkąd płynie nuta.

Kraj daleki, szeroki aż het z niebem się styka, biały konik pług ciągnie, pod skwarnem słońcem południa, nad pługiem pochylony idzie chłopek ubogi, idzie i śpiewa wesoło.

Wołają chłopa do siebie ulubieńcy pańscy:

— Któż ty jesteś człowieku, że tak śpiewasz swobodnie,

jak gdyby w duszy twej żadna nie gościła troska? Byłżebyś szczęśliwym?

— Ależ naturalnie — odparł wieśniak z prostotą, i wzrok jasny, pogodny podniósł na pytających.

Spojrzeli po sobie rycerze i dworscy paziowie i zawołali:

— Jeśli tak, to oddaj nam twoją koszulę, musimy ją mieć koniecznie!

— Moją koszulę? — rzekł kmiotek i roześmiał się wesoło, serdecznie. — O! mądry będzie ten, kto ją znajdzie! Patrzcie!

I rozchyliwszy siermięgę, ukazał pierś nagą.

Ten człowiek nie posiadał koszuli!

* * *

Śliczną jest ta wschodnia legenda, nie prawdaż i piękną zawiera naukę. Ale oto teraz zdarzenie prawdziwe, posłuchajcie:

W jednej z wielkich stolic świata, żyła młoda kobieta, uwielbiana przez wszystkich.

Ludzie otaczali ją pochlebstwem, życie same kwiaty pod nogi rzucało, posiadała wszystko, co tylko zapragnąć i o czem zamarzyć mogła, wszystko prócz szczęścia.

Bezczynna, kapryśna, znudzona powodzeniem i zabawą, nie wiedziała co myśleć, aby skrócić nieznośne długie dnie i godziny. W tej chwili właśnie siedzi w wygodnem krześle swego salonu; wkoło niej porozrzucane zaczęte robótki, zeszyty nut, książki, które co chwila bierze do ręki, odkłada i znowu bierze.

I gdy tak przerzuca kartki jednej z tych książek, trafia przypadkiem na legendę o »Koszuli szczęśliwego człowieka«.

Przebiegła ją wzrokiem i zamyśliła się chwilę.

Nagle, jak ktoś, któremu błyśnie myśl niespodziana a trafna, zerwała się z siedzenia i nie zważając, iż nie było nikogo w pokoju, zawołała głośno:

— Nie udało się dotąd nikomu znaleść szczęśliwego mężczyzny, otóż ja znajdę napewno szczęśliwą kobietę!

I już cała zajęta swoim projektem, uradowana iż sobie nową znalazła rozrywkę, rozpoczęła natychmiast poszukiwanie.

Znajomych miała w mieście mnóstwo: więc gdy salon jej w popołudniowych i wieczornych godzinach napełniał się ładnemi twarzyczkami jej przyjaciółek, ona delikatnie, serdecznie aby nie obrazić i nie zadrasnąć, każdej zadawała pytanie:

— Czy jesteś szczęśliwą?

Niestety, mijały dnie i tygodnie, a odpowiedź ze wszystkich ust była niezmiennie ta sama:

— Nie!

Czasami to »nie« było energicznie, gwałtownie rzucone; najczęściej pokrywał ją smutny uśmiech.

Bywało i tak, że zamiast odpowiedzi, w oku zapytanej błysnęła łza.

I wszędzie było to samo.

A piękna młoda kobieta po każdym dniu, spędzonym na poszukiwaniu szczęśliwych, zamyślała się długo, a smutek i cień troski osiadał na jej czole.

— Więc to prawda, że niema szczęścia na świecie? — mówiła sama do siebie — a może to ja tylko trafić na nie nie umiem; może starsi, co dłużej żyją, co lepiej znają ludzi, kiedyś w szeregu lat przeżytych, spotkali je na swej drodze!

Pod wpływem tej myśli, poszła do swego proboszcza, siwego starca, który ją małem dzieckiem pamiętał.

Na pytanie, czy nie zna kobiety szczęśliwej, sędziwy kapłan uśmiechnął się dobrotliwie:

— Przeczytaj pierwszy wiersz tego listu, na który właśnie odpisywałem — rzekł podając jej zapisaną ćwiartkę.

List ten zaczynał się od słów: »O mój ojcze, mój ojcze, jaka ja jestem szczęśliwa!«

Młoda kobieta zerwała się z krzesła:

— A więc jest na świecie kobieta szczęśliwa i ojciec ją zna!

— I ty ją znasz także, moje dziecko — odparł proboszcz.

— O, któż ona taka, ojcze i gdzie ją widzieć można?

— Nie ma jej już we Francyi; jest obecnie we Włoszech, przy naszych rannych. Nazwisko jej hrabina Amelia Grandal, ta sama, u której tak często bywałaś.

— Ona?

Nazajutrz po tej rozmowie, pociąg unosił »poszukiwaczkę szczęścia« w stronę Włoch.

We Włoszech przednia straż francuskiego wojska przyjęła ją z uśmiechem:

— Nie ma ani jednej hrabiny między nami!

Ale podróżniczka nalegała: ona wie napewno, że się nie myli.

Nadchodzi starszy oficer:

— Szuka pani hrabiny Grandal? Owszem, znajduje się

w pułku, ale znają ją wszyscy jedynie pod imieniem siostry Amelii. Proszę za mną.

I poszli do ambulansu, gdzie zewsząd słychać było przyciszone jęki rannych i konających.

Przy nich, jak Anioł pokoju, ze słodkim wyrazem na twarzy, Siostra miłosierdzia opatruje rany.

Młoda kobieta zbliżyła się nieśmiało:

— Siostro — rzekła półgłosem — czy siostra szczęśliwa?

— O pani droga! tak, tak — odparła zakonnica z niewymownym uśmiechem.

— Ale czy zupełnie?

— O tyle, o ile można być szczęśliwą na ziemi, w oczekiwaniu tego, co Bóg zgotował tam wysoko. O mój Boże, czy tam będzie się można poświęcać dla drugich?

— A więc siostro kochana, na miłość Boską, tylko się ze mnie nie śmiej, daruj mi koszulę, którą masz na sobie.

Lekki rumieniec oblał twarz Szarytki.

— Ależ to niemożliwe — odparła zakłopotana.

— Koniecznie, koniecznie, potrzeba mi jej koniecznie.

Zakonnica zmięszała się jeszcze bardziej.

— Nie mam jej — szepnęła. — Dziś rano zabrakło płótna w ambulansie: podarłam ją na bandaże.

Światowa pani spuściła głowę; łzy błysnęły w jej pięknych oczach.

— Dziękuję ci siostro — rzekła wzruszona — teraz rozumiem. Szczęścia dać ani wziąć nie można; trzeba je kupić, tak jak ty je kupiłaś, za miłość Bożą, za p r a c ę i p o ś w i ę c e n i e d l a d r u g i c h.

I ja szczęście znajdę, tak jakeś ty je znalazła!

Zdrowie, to przyszłość nasza.

„W zdrowem ciele — duch zdrowy“ — mówili ludzie jeszcze w starożytności, a prawdę tych słów stwierdzamy niemal codziennem doświadczeniem. Widzimy bowiem, jak człowiekowi zdrowemu i silnemu najcięższa praca łatwo przychodzi, nie odbierając mu siły, ani pogody ducha.

Człowiek zdrowy, po ukończonej pracy zasiada z apetytem do posiłku, a posiliwszy się i odpocząwszy trochę, gotów znowu stanąć do pracy, lub jeżeli ma już czas wolny od zajęć codziennych, rad jest co przeczytać, ażeby się dowiedzieć, co się na świecie dzieje i kiedyś działo. Śpieszy też ochotnie na każde zebranie, na którem porozmawiać można o sprawach, każdego oświeconego człowieka obchodzących.

Zdarza się zaś przeciwnie, że człowiek słabych sił, źle odżywiany, nie ma prawdziwej ochoty do pracy, że tylko konieczność go do niej zmusza; myśli też, jakby się jej mógł najprędzej pozbyć, zbywa ją byle jak, bo siły go opuszczają, a skoro nadejdzie chwila wytchnienia, rzuca się na posłanie i o niczem już więcej, jak o spaniu, myśleć nie jest zdolny. Nic go nie obchodzi, co się na świecie dzieje, nie ma ochoty pomyśleć nawet o tem, co w gospodarstwie trzebaby zmienić lub ulepszyć, ażeby sobie byt poprawić; żyje z dnia na dzień i ze strachem myśli każdego wieczora, że jutro znowu do pracy stanąć trzeba będzie.

Takich ludzi, pracujących ostatkiem sił całemi nieraz latami, spotyka się więcej jeszcze w mieście, niż na wsi, gdzie ludzie przynajmniej świeżem powietrzem oddychać mogą; praca bowiem na świeżem powietrzu bez porównania mniej męczy, niż wśród czterech ścian izby, często wilgotnej i ciemnej, mniej taka, która ruch daje, niż zmuszająca do siedzenia ciągłego, przy warsztacie, lub nawet w biurze przy pisaniu.

Dzieci rodziców słabych, nie mogących ich w dodatku dobrze odżywiać, nigdy silnemi być nie mogą, i tak z pokolenia

na pokolenie przechodzi coraz większy upadek sił ciała i ducha zarazem.

Społeczeństwo nasze jednak potrzebuje ludzi zdrowych i silnych, bo inaczej nie będzie się mogło podnosić ani materyalnie, to znaczy na majątku, ani duchowo, czyli pod względem oświaty, zrozumienia naszych potrzeb narodowych i t. p.

Powinniśmy zatem bardzo dbać o to, ażeby dzieci nasze na silnych i zdrowych ludzi wychować, a więc przedewszystkiem zastanowić się nad tem: co jest głównym powodem tego, że tak ludzie coraz bardziej słabną i karleją?

Że ludzie rzeczywiście osłabli i skarleli, najłatwiej się przekonać możemy, gdy będziemy zwiedzali stare zamki lub muzea i tam przypatrzymy się dawnym zbrojom żelaznym, koszulkom z kółek stalowych, mieczom ciężkim, tarczom — temu wszystkiemu wogóle, co stanowiło zbroję rycerza, wyruszającego na pole walki. Teraźniejszy człowiek przeciętny, to znaczy ani bardzo słaby, ani olbrzymio rozrosły, udźwignąć na sobie takiej zbroi nie potrafi — a przecież rycerze w tych samych zbrojach wskakiwali bez strzemion na konia i wykonywali podczas walki najtrudniejsze zwroty z zupełną swobodą ruchów.

Powody, które sprowadziły głównie taki upadek sił u ludzi, to n i e u m i e j ę t n e p i e l ę g n o w a n i e d z i e c i, nędzne pożywienie, brak zdrowego powietrza, a z w ł a s z c z a p i j a ń s t w o, i wogóle życie w warunkach, które się bardzo zasadom zachowania zdrowia sprzeciwiają, a co i wśród ludzi zamożnych bardzo często się spotyka.

Musimy temu przeciwdziałać, musimy robić wszystko, co tylko jest w naszej mocy, ażeby złemu zapobiedz. Jeżeli wszystkie matki wezmą się za ręce i z a c z n ą l e p i e j p i e l ę g n o w a ć s w o j e d z i e c i, całe nowe pokolenie będzie już silniejsze. Ale jak setek lat było potrzeba, ażeby ludzie się wyrodzili, tak znowu niemało czasu upłynie, nim wpływ naszych starań będzie widoczny.

Będzie to wielką zasługą matek i wogóle rodziców, gdy wyrzekając się dawnych przesądów, oddadzą się całą duszą wychowaniu swych dzieci; gdy obok wszczepiania w serca ich pobożności, wyrabiania charakteru i silnej woli, będą się niemniej starali o r o z w ó j s i ł i c h i c i a ł a.

Z pomocą Bożą znowu kiedyś, jak za dawnych czasów,

Polska będzie się mogła poszczycić młodzieżą dziarską, silną, odważną, gotową tak do pracy, jak i do walki, a nie dającą się w niczem nikomu wyprzedzić — a wszystko to może być zasługą obecnych młodych matek.

O zdrowie dziecka powinni rodzice troszczyć się już przed jego urodzeniem. A ponieważ dzieci rodziców, dotkniętych ciężką chorobą nieuleczalną, nigdy zdrowe być nie mogą, przeto ludzie tacy wcale w związki małżeńskie wstępować nie powinni.

Równie zgubny wpływ, a nawet jeszcze zgubniejszy, wywiera na dzieci pijaństwo rodziców. Uczeni wykazali bowiem na podstawie dokładnych dochodzeń, że prawie wszyscy nałogowi złodzieje, podpalacze, włóczęgi, waryaci, idyoci (to jest głupkowaci), niezdolni do nauczenia się jakiejkolwiek pracy, byli dziećmi lub wnukami pijaków nałogowych. Rozmaite kalectwa, skłonność do chorób rozmaitych, do wyrzutów skórnych i t. p., pochodzą najczęściej z tego samego źródła. A im więcej następujących po sobie pokoleń pijaństwu się oddaje, tem większe zwyrodnienie na ciele i umyśle przychodzi.

Z tego wynika, że pijacy tacy wcale nie powinni się żenić, jeżeli nie czują się na siłach, ażeby się swego nałogu najzupełniej pozbyć mogli co do używania wódki i piwa szczególniej w takim stopniu, że przychodzą do utraty przytomności.

Wogóle używanie napojów spirytusowych jest szkodliwe; jednak kobieta, która ma zostać matką, tembardziej powinna się zupełnie wyrzec nietylko wódki, ale nawet piwa i wina. Tak samo zachować się ma podczas karmienia dziecka, ponieważ szczególniej na rozwój dzieci zgubnie wpływają napoje gorące, jak wódka, piwo, arak, wino, nawet przez pośrednictwo matki.

Znaczenie odzienia.

Ubranie zasłania ciała nasze przed zimnem i zbytnim upałem. Ludzie ucywilizowani noszą ubranie również z poczucia wstydu, dla okrycia nagości swojej. Natomiast ludy dzikie w krajach gorących chodzą zupełnie nago, a co najwyżej osłaniają biodra swe przepaskami ze skóry zwierzęcej, z liści, z piór ptasich lub tkanin.

W krajach zimnych, jak nasze, obawa przed zimnem przedewszystkiem, skłoniła ludzi do troski o odzienie. Skóra z zabitego zwierza była pierwszem okryciem zarówno w lecie jak w zimie, w dzień i w nocy. Z czasem dopiero, gdy ludzie poznali użyteczność lnu i konopi, zaczęto wyrabiać płótna i szyć z niego bieliznę. Przedtem koszul nie znano. Skóra zwierza była wszystkiem. Jeden z królów angielskich miał dwie koszule, co wtedy za taką uważano osobliwość, że je zapisano w kronikach państwa.

Dzisiaj z postępem oświaty — gdy ludzie wysilają swe mózgi — i kieszenie — na ubiory, odzienie przestało już być tylko odzieniem, a stało się głównie strojem.

Nietylko u ludzi zamożnych po miastach, ale po wioskach i siołach mnożą się z roku na rok wydatki na stroje. Przykład idzie z góry. Modne panie rujnują majątki swych mężów na ozdobę swej cielesnej powłoki, przesadzają się jedna nad drugą. Nieraz taka pani więcej majątku nosi na sobie jak ma w domu. Za ich przykładem idą inne córki matki Ewy. Służąca chce dorównać swej pani, na stroje więc idzie cała jej zasługa a niekiedy i — cnota. Dziewczęta wiejskie, żony, matki również na stroje są wrażliwe. Powiadają, że wiele z nich co zarobi, wszystko wyda na fatałaszki. Pogoń za modą wygnała z miast i wiosek dawne, swojskie ubiory a sprowadziła miastowo-żydowską tandetę. Walka z nią prawie, że niemożliwa, daremna. A jednak nie masz piękniejszego stroju nad strój nasz ludowy! Gorset dla dziewcząt, kobiet, płótnianka, sukmana dla mężczyzn

zakasują najmodniejszą miastową strojnisię. Niechże strój ten ludowy będzie zachowany przynajmniej jako strój odświętny!

Nas, mówiąc o ubraniu, obchodzi przedewszystkiem wpływ jego na zdrowie. Otóż nie da się zaprzeczyć, że wszelkie tandety miastowe sprowadziły na wsie wiele chorób, o których dawniej słuchu nie było. Co jednak najbardziej wpływa na zdrowie, to czystość ubrania. Zarówno wierzchnie odzienie a zwłaszcza bielizna wymaga wielkiej czystości, wszelki bowiem brud w ubraniu nietylko sprawia obrzydzenie, ale sprowadza różne przypadłości i choroby ciała. Dla bielizny nie żałować wody, mydła, a dla sukien, powietrza, szczotki i trzepacza!

Kilka zdań o pijaństwie.

Pij, pijaku, pij, a potem torba i kij.

* * *

Pijąc cudze zdrowie, tracimy swoje.

* * *

Baba pijana podobna do szatana.

* * *

Mądry śmieje się z kieliszka, a głupi z trzeźwości.

* * *

Jeśli nie chcesz zgody, kup wódki na gody.

O bólu zębów.

Bardzo często ludzie, których bolą zęby, przypisują powstanie bólu zębów wpływowi powietrza zimnego, czyli zaziębieniu. I w rzeczy samej nie można zaprzeczyć, że w wielu przypadkach zaziębienie powoduje ból zębów, zwłaszcza zębów zepsutych.

Ogólnie jest wiadomem, że wszelka nagła zmiana powietrza, jak również i tak zwane przeciągi, mogą wywołać niedomaganie. Pod wpływem nagłej zmiany ciepłoty na pewną część powierzchni ciała, zmniejsza się w danem miejscu obieg krwi i powstaje tak zwane niedokrwienie, co w silnym stopniu zmniejsza odporność ciała na wpływy zewnętrzne.

Zazwyczaj podlegają zaziębieniu te narządy, które najbliżej leżą części, wystawionych na działanie zimna. Wskutek działania zimna na szyję zjawić się może katar gardzieli, działanie na brzuch powoduje rozstrój żołądka, a na twarz — ból zębów.

Ma się rozumieć, że zębom zdrowym zaziębienie nie prędko szkodzi, lecz ma się inaczej, gdy zaziębienie dotyka zębów chorych, zepsutych, w których tak zwany przez publiczność »nerw« (miazga komorowa) jest otwartym, w stanie zepsutym, lub zgniłym. Wtedy zaziębienie może doprowadzić do poważniejszych zaburzeń. Zarazki chorobotwórcze, znajdujące się w zepsutym zębie, drążąc coraz głębiej, doprowadzają częstokroć do tak zwanych „fluksyi“ (zapalenia okostnej), które są cierpieniem wielce dokuczliwem.

Cudownego środka, uśmierzającego ból zębów, powstałego wskutek zaziębienia, czy jakiej innej przyczyny — nie ma dotąd,

Wszystkie w tym celu zachwalane środki, jak rozmaite krople i płukania, należą do rodzaju leków niedorzecznych, mających tę właściwość, że częstokroć nie szkodzą, ale też i nie pomagają, albo które i zaszkodzić mogą.

Natomiast staranne utrzymywanie zębów i dziąseł w porządku, a więc **mycie zębów i czyszczenie, to najlepszy środek.**

Gdy zimno dokuczliwe i przejmujące na dworze, zwłaszcza **kiedy panuje wichura, nie należy oddechać otwartemi ustami,** bo na to mamy nos aż z dwiema dziurkami. Należy nosem oddychać, ażeby się ustrzedz zaziębienia zębów i gardzieli.

Również nie należy jadać potraw zbyt gorących, albo zbyt zimnych, albo tak kwaśnych, że zęby cierpną, bo to wszystko w wysokim stopniu szkodzi zębom.

O zęby trzeba dbać starannie, bo w ustach za pomocą zębów odbywa się pierwsze trawienie potraw, jakie spożywamy. Kto bez zębów lub ma zęby ciągle chore, ten nie może potraw dobrze w ustach przeżuć, więc potrawy idą grube do żołądka, a ten się przepracowuje długo, a potem w starszych latach zaczyna często wypowiadać służbę.

Straszne są skutki takiego strejku żołądka! Może już je wszyscy zauważyli u starszych osób, a może niektórzy doznali sami na sobie, więc nie lekceważmy sobie zębów.

Po czem poznać grzyby trujące.

Niektóre grzyby trujące jak n. p. muchomory łatwo można poznać z wyglądu zewnętrznego, ale są i takie, które mają podobieństwo go grzybów jadalnych, a jednak mają własności trujące. Nie ulega wątpliwości, że najpewniej uchronić się od nieszczęścia, gdy się grzybów takich, których się dobrze nie zna, wcale nie używa jako pokarmu. Pomimo tej ostrożności może jednak nastąpić pomyłka z powodu podobieństwa niektórych grzybów trujących do jadalnych i zamieszania się szkodliwych pomiędzy grzyby dobre. Podajemy tu następujący środek poznawania grzybów trujących.

Gdy się grzyby gotują lub smażą i są gorące, to należy do garnka z grzybami włożyć na kilkanaście minut srebrną łyżeczkę. Co prawda u włościan takich zbytkownych przedmiotów nie ma, ale srebrną łyżeczkę można bardzo dobrze zastąpić srebrną koroną, o którą już łatwiej w domu włościańskim. Rozumie się, że używając do tego celu srebrnej korony należy ją przed wrzuceniem do garnka, starannie obmyć w gorącej wodzie ze wszystkich stron, a następnie powycierać.

Jeżeli grzyby są nieszkodliwe, to włożona do grzybów łyżeczka srebrna albo korona nie zmieni swojego właściwego koloru i połysku. Przeciwnie zaś srebrny przedmiot włożony do gorących grzybów trujących, czernieje dosyć prędko i to nas ostrzegać powinno przed spożywaniem takich grzybów. Nie zachodzi też obawa, ażeby przy tej próbie przedmiot srebrny uległ uszkodzeniu, gdyż łatwo można go oczyścić kredą lub popiołem.

W wypadkach otrucia jaknajspieszniej zadać choremu proszek na wymioty (emetyk), jeżeliby takiego nie można dostać we wsi, a do apteki było daleko, to wymioty wywołać przez drażnienie przełyku piórem albo po prostu palcem; należy też zaraz zgotować bardzo mocnej kawy (ale bez żadnego dodatku cykoryi) i pić jaknajwięcej tej mocnej czarnej kawy, nawet kika szklanek.

Przytem sprowadzić jaknajspieszniej lekarza, któryby żołądek przepłukał.

Niektóre prawidła przy chowie królików.

1. Stajenkę dla królików utrzymuj w czystości i przynajmniej raz lub 2 razy do roku wybiel ją także wewnątrz mlekiem wapiennem z domieszką kreoliny.

2. Dostarcz królikom miękkiego legowiska jak np. z gorszej owsianki, próchna torfowego itp.

3. Naczynia do karmy wymywaj i wyparzaj regularnie, aby zapobiedz kwaśnieniu resztek karmy.

4. Nie utrzymuj za wiele królików, zwłaszcza w razie braku odpowiedniego pomieszczenia. Daleko większa korzyść będzie z mniejszej ilości starannie dobranych i zaopatrzonych królików, aniżeli z wielkiej gromady gorszego gatunku, z natury mało użytecznych, zaniedbywanych itp.

5. Nabywaj tylko znane jako użyteczne rasy, jak np. »olbrzymy belgijskie«, »barany francuskie«, »lotaryngskie olbrzymy« i niektóre inne.

6. Starych królików do chowu nie nabywaj, bo te nie opłacą się.

7. Posiadając znakomity gatunek królików, trzymaj się przy nim i za innym nie oglądaj. Ale do dalszego chowu stale wybieraj najlepsze sztuki, gorsze wcześnie ze stada usuwaj, podtucz i sprzedaj itp.

8. Dobrze zbudowanych, użytecznych królików, celem ubiegania się o nagrodę na wystawy nie posełaj, tylko trzymaj i używaj ich do hodowli.

9. Na kilka dni przed okoceniem, postaw kotnej samicy naczynko z świeżem mlekiem lub czystą wodą, ponieważ po porodzie miewa ona wielkie pragnienie.

10. Na krótko przed koceniem zaleca się stajenkę wydezynfekować np. 10-cio procentowem wapnem karbolowem (Karbolkalk; proszek do nabycia w drogueryi).

11. Również trzeba na krótko przed koceniem samicy

sporo miękkiego i suchego siana podrzucić, aby mogła sobie miękko podesłać.

12. Nie pozwól, aby samica po okoceniu otwór do gniazda mierzwą zarzuciła.

13. Zielonej paszy królikom nie żałuj. Ale bardzo uważaj na to, czy ten i ów królik nie dostał czasem rozwolnienia, w którym razie natychmiast przejdź do podawania suchej paszy, np. zdrowego siana, owsa itp.

14. Dobra słodka marchew jest doskonałą karmą, która wpływa nader korzystnie na jakość futerka; marchew itp. warzywo powinno być czysto oskrobane i umyte. Nie zapominaj o podawaniu świeżych gałązek, już aby zaspokoić potrzebę gryzienia królików.

15. Warzywa nie podawaj razem z zielenizną, lecz samo dla siebie a obok tego siano lub owies.

16. Drewniane korytka są niepraktyczne, ponieważ króliki je obgryzają i trudniej je utrzymać w czystości.

17. Nie zadawaj na raz za wiele paszy, lecz tylko tyle ile zwierzątka wyjeść zdołają, tak, aby do następnego odpasu nic nie zostało. Dobrze jest zapisywać sobie ile pojedyńcze rasy i sztuki spożyją.

18. Szczególnej pielęgnacyi i posilnego pożywienia potrzebują karmiące samice; świeża, zdrowa zielenizna nader korzystnie wpływa na obfitość mleka. Wkrótce po okoceniu podaj samicy kawałki starego chleba w mleku moczonego; karma ta bardzo pokrzepia porodem osłabioną samicę.

19. Dwurazowy dzienny odpas wystarcza, z wyjątkiem karmiących samic i młodych królików.

20. Miej pod ręką rzeszotko do przesiewania np. owsa, ponieważ bardzo akuratnym być trzeba pod względem podawania zdrowej czystej paszy. Zielenizna winna być zawsze świeżo koszoną, zagrzana na gromadzie, zwiędła itp. — bywa trucizną.

Jak i kiedy sadzić drzewka owocowe?

Zapewne każdemu z Szan. Czytelników wiadomo, jak zdrowem jest używanie owocu tak surowego jak i gotowanego! Z prawdziwą przyjemnością jedzą go starsi, a dzieci już wprost łakną takich łakoci. Wobec tego powinien każdy, posiadający choćby mały skrawek ziemi, postarać się o kilka krzaków agrestu i porzeczek i o kilka śliw, jabłoni i grusz.

W zachodnich Niemczech, a jeszcze więcej w Czechach nietylko przy każdym domu ujrzysz sadek, ale nie spotkasz ani miedzy, drogi lub szosy obsadzonej innem jak drzewem owocowem. Obyśmy i my tak czynić zechcieli; ileby to zysku przyniosło nam i sprzedawcom.

Bylibyśmy szczęśliwymi, gdyby się nam udało tego lub owego zachęcić do wsadzania drzew w ogrodzie, na miedzy lub nad drogą. Im to służymy wskazówkami następującemi:

1) Kiedy sadzić? Albo od połowy października i przez cały listopad, albo w marcu i na początku kwietnia. Zatem skoro ziemia taje, należy kopać dołki, gdyż dobrze, aby przez czas jakiś na nie oddziaływało powietrze. Jeszcze lepiej, gdy dołki były już na zimę wykopane.

2) Jakie drzewka sadzić?

Drzewka wysokopienne (o wysokim pniu) należy sadzić nad drogą, aby wozy wysoko naładowane mogły wygodnie przejeżdżać; na każdem innem miejscu radzimy sadzić drzewka półwysokopienne, których korona sterczy od 1 do 1·50 metra ponad ziemię, lub drzewka niskopienne, mające koronę tuż ponad ziemią, bo 1) prędzej rodzą, 2) większe i lepsze mają owoce, 3) łatwiej utrzymywać drzewko w porządku i owoc zrywać, 4) wiatr owocu nie łatwo strąci i t. d. Gdzie jednak drzewo zasłonione od wiatrów i obawiać się trzeba kradzieży, to i w ogrodach można sadzić drzewa wysokopienne. Równocześnie zwracamy uwagę, żeby zimowe grusze nie kupowano na wysokopiennych drzewkach, bo nie będzie z nich pociechy.

Co do niskopiennych drzew nadmieniamy, że wymagają najwięcej pielęgnacyi, ale za to wydawają najlepszy owoc.

3) Odległość dołków. Tylko nie za gęsto! Drzewka niskopienne powinny być oddalone od siebie 4 do 5 metrów,

reszta drzew zaś powinna mieć odległość 8 metrów stosownie do koron jakie niegdyś mają tworzyć. Zaś dołki do krzewów np. agrestu mają być $1/_2$ metra głębokie; do drzew zaś powinny być $1^1/_2$ metra długie, tyleż szerokie, a 70—80 cm. głębokie.

Czemuż taki szeroki i głęboki dół kopać, kiedy maleńki dołek wystarczyłby zupełnie do ukopania drzewka? Tu chodzi o spulchnienie ziemi konieczne, aby drzewko bujnie rosło i szybko korzyść przyniosło.

4) Jak przygotować drzewko do sadzenia? Należy kupić drzewko o ile możności tak grube, aby bez kołka obyć się mogło, który przeszkadza drzewku w rośnięciu. Jeżeli zaś kołek potrzebny, ma go się równocześnie z drzewkiem wsadzić, aby później nie uszkodzić korzenia. Drzewko się przywiązuje do kołka najlepiej słomą, która tworzy po zawiązaniu leżące 8 i zapobiega starciu.

Zaraz po wykopaniu drzewka obwiązuje się korzenie mchem lub mokrem miechem; a przywiózłszy je do domu polewa wodą korzenie i zakrywa ziemią; powietrze ani 5 minut na korzeń działać nie powinno, gdyż to szkodliwe.

Kto się zabiera do sadzenia, niech wyciągnie jedno drzewko — niech utnie połamane lub mocno uszkodzone grube korzenie nożem na ukos i tak, że ucięta biała część skierowana będzie na dół.

Przedtem już powinno się gorszą ziemię wyrzuconą z dołka usunąć i przywieść lepszą ziemię i zmieszać ją z kompostem lub dobrze przegniłą mierzwą i dodać trochę gruzu lub wapna rozlasowanego na powietrzu. Taką ziemię wsypuje się w dołek, rozpościera się korzenie i nasypuje się na nie ziemię, przyciskając ją pięścią tak, aby pomiędzy korzeniami nie było próżni. Potem rzetelnie polewa się wodą. Całe 2 wiadra nie za wiele; na to wsypuje się znowu ziemi. Nakoniec ziemię około drzewka mocno udeptać, gdyż to zapobiega wyschnięciu ziemi i przyczynia się do przyjęcia drzewka. Kto chce może drzewko obłożyć krótką mierzwą, pod którą ziemia będzie pulchna i wilgotna; a tego młodemu drzewku bardzo potrzeba.

5) Czy trzeba obciąć gałązki drzewka? Drzewka świeżo wsadzone słabo się żywi korzeniem zawsze trochę uszkodzonym; po największej części czerpie soki spożywcze z własnego pnia, który jest jakoby spiżarnią dla niego. Zatem całej swej korony dostatecznie odżywić nie może. Ztąd też

pochodzi, że drzewka przy wsadzeniu mało lub wcale nie obcięte wypuszczają słabo i to tylko na samych wierzchach; dolna część gałązek pozostaje gołą. Drzewko takie smutny sprawia widok, a w suchych latach najczęściej usycha.

Więc trzeba je obciąć, ale jak? Oto należy uciąć latorośle (czyli gałązki gładkie, które zeszłego roku wypuściły), zostawiając z nich $^1/_3$ lub mniejszą połowę; ucina się latorośl tuż nad oczkiem zewnętrznem, aby z niego wyrosła nowa lotorośl na zewnątrz drzewka. Oprócz tego wycina się gałązki które się krzyżują, lub wzrastają w środek korony.

Na drugi rok po sadzeniu ucina się w marcu z zeszłorocznych prętków $^1/_3$ (zostawiając $^2/_3$); gdyby nowe latorośle nie były równe, można dłuższe prętki krócej obciąć, a krótkie zostawić nie obcięte, aby korona drzewka stała się regularna. W dalszych latach zazwyczaj gałązek się nie obcina, chyba wycina się gałązki rosnące do środka korony, lub te, które się krzyżują, gdyżby się później o siebie tarły i spowodowały raka.

6) J a k g ł ę b o k o s a d z i ć d r z e w k o? Drzewko na nowem miejscu nie sadź głębiej niż w szkółce; gdyż do jego korzenia niezbędne powietrze nie miałoby przystępu. Drzewko zaś głęboko wsadzone karłowacieje, nie rodzi owocu, lub puszcza z korzenia pełno dzikich pędów. Otóż, aby tego błędu nie popełnić, trzeba o $^1/_2$ stopy ponad ziemię sadzić. Gdyby ktoś miał pod drzewko włożyć mierzwę, (na której korzeń nigdy leżeć nie powinien), to kopiec nawet jeszcze wyższy być powinien. Ziemia bowiem w przeciągu jednego roku sama tak opadnie, że wtedy drzewko stać będzie jak powinno. Na ten punkt szczególną zwracamy uwagę.

7) W ś r ó d l a t a należy — stosownie do potrzeby — co 2 lub 3 tygodnie dobrze podlać (2 do 3 wiader); lecz bierze się wodę deszczową lub wygrzaną na słońcu — nigdy wprost ze studni, gdyż takowa za zimna, szkodliwa. Zaś prócz tego dobrze jest codziennie z góry zraszać koronę wodą. Za to będzie drzewko bardzo wdzięczne. Gdyby ziemia około drzewka miała być spieczoną, twardą, należy spulchnić.

8) Ponieważ nie każdy gatunek drzew owocowych wszędzie dobrze rośnie, lub nie dobry rodzi owoc, przeto należy taki drzewko przeszczepić na gatunek lepszy. Takie drzewko lubi już w drugim roku po przeszczepieniu rodzić owoce obficie.

(Z Przew. katol).

O chowie dobytku żywego w zimie.

Dobry gospodarz powinien szczególniej w zimie zająć się wychowem zwierząt domowych, bo one teraz, zostając wciąż pod jego okiem, mogą być z największą troskliwością pielęgnowane.

Trzoda chlewna, osobliwie maciory prośne, gdy przestaną się karmić świeżą trawą na pastwiskach, dostają często zatwardzenia, a stając się przez to samo niespokojne i złośliwe, zjadają czasem własne prosięta. Dlatego, chcąc się uchronić od takich wypadków i utrzymać świnie w zdrowiu, dobrze jest zacząć dawać maciorom na parę tygodni przed porodem, po pół garnca, albo nawet i po garncu usiekanych buraków, marchwi pastewnej, brukwi lub kartofli. Karma bowiem taka urządza strawność żołądka.

Konie i woły mniej mają roboty w zimie, wypada więc je karmić oszczędniej i skromniej, niż w lecie. Znacznie można koniom owsa ująć, a woły przetrwać mogą zimę na samem sianie i słomie. Rozumie się jednak, że kiedy koni używamy w zimie do furmanek lub odstaw zboża, albo do zwózki drzewa z lasu, trzeba je w czasie tej pracy również dobrze karmić jak i w lecie, aby z sił nie opadały.

O hodowlę bydła rogatego należy też szczerze się starać, bo w początku zimy krowy cielić się zaczynają. Krowy cielne już od trzeciego miesiąca żywić coraz posilniejszemi pokarmami, dodając im najwyborniejszego siana, a bodaj lepiej jeszcze koniczyny, oraz osypki ze zboża, grochu lub makuchów rzepniowych.

Skoro, na kilka dni przed ocieleniem, krowa zacznie odpuszczać, dobrze jest zwłaszcza pierwiastkom dawać pojło z siemienia lnianego byle nie gorące. Po ocieleniu zaś przez dwa dni po trzy razy — rano w południe i wieczorem, radzą doświadczeni gospodarze dawać napój z koperku, urządzane w następny sposób: Dwa łuty koperku uparza się w trzech

kwaterkach wody wrzącej, a potrzymawszy napar ten jeszcze przez kilkanaście minut blizko ognia tak, aby się zagotował, ostudzić go później i dawać razem z pojłem z siemienia lnianego. Albo jeżeli krowy pić nie chcą, wlewa się im w gardło z butelki. Ten napój z koperku powoduje obfitsze wydzielanie mleka po ocieleniu.

Do chowu należy wybierać tylko najładniejsze cielęta i to po dobrych krowach, a inne, lichsze sprzedawać zaraz po pierwszym tygodniu, żeby mleka daremnie nie ssały. Choćby nawet cielęta były i po dobrych krowach, jeżeli od samego początku nie są hodowane jak należy, to nie wyrosną z nich ani silne woły, ani dobre dojki.

Zaraz po urodzeniu cielę trzeba obetrzeć wiechciem, akuratnie aż do sucha i wyniesć je do osobnej komórki, żeby go nawet matka nie widziała, bo wtedy po nim nie tęskni i nie zatrzymuje mleka. Niebawem też zdoić wymię matki do ostatka; a jeżeli krowa ta zatrzymuje mleko, wypada drugi i trzeci raz powtórzyć dojenie.

Należy trzymać cielęta w ciepłej obórce, gdyż z zaziębienia mogą łatwo dostać biegunki. Poić cielęta mlekiem trzy razy na dzień, a najlepiej dawać im mleko z osobna od ich matek. Jeżeliby zaś mleka nie starczyło, to można dolewać go od innych krów, ale dawać je świeże, dopóki nie ostygło. Dla byczków przeznacza się z początku po pół garnca na raz, dla jałoszek zwłaszcza gdy nie są duże, tylko po półtory kwarty

Po pierwszym tygodniu, jeżeli cielęta chcą więcej pić daje się im po pół kwarty więcej mleka; po dwóch tygodniach znowu dolewa się kwaterkę czy półtory na każdy raz, i tak postępując przez miesiąc, albo nawet pięć tygodni, poczem zaczyna się ujmować mleka świeżego, a dolewa się natomiast mleka zbieranego i przegotowanego z nasieniem lnianem, którego się bierze po cztery łuty na każdą kwartę zbieranego mleka. Nadto trzeba już w tym czasie zakładać cielętom za drabinę najlepszego sianka, by przywykły jeść suche pokarmy.

Po dwóch tygodniach takiego karmienia, mleko gotowane z siemieniem lnianem zastępować potrochu pojłem, zrobionem z otrąb lub mąki owsianej i siemienia czy makuchów lnianych. Po kilku tygodniach zmniejszać znów ilość takiego pojła, a natomiast przyzwyczajać do owsa suchego i wody czystej

Jałoszkom dobrze jest dawać mniej owsa, a za to po półtora garnca na dzień buraków, czy marchwi pastewnej.

W ten sposób chowane cielęta dobrze rosną a oszczędność na mleku jest wielka. Krowy bowiem nie widząc wcale cieląt, nie tęsknią za niemi i zawsze jednostajnie sporo mleka dają. Wszelako takie zupełne niedopuszczanie cieląt do matek być może korzystne wówczas tylko, kiedy gospodarz hoduje cielęta z największem staraniem i dokładnością. A jeżeli tak nie jest, to lepiej chować cielęta starym obyczajem przy krowach.

Krowy dojne powinny być przez całą zimę dobrze żywione, bo jeżeli w tym czasie zanędznieją, to tracą mleko, stają się złemi dojkami i raz na zawsze się psują. Więc dla krów trzeba przeznaczyć rzepę, marchew, buraki, drobne kartofle, a ku temu dokupić jeszcze dla nich otrąb pszennych lub żytnich makuchów lub jakiej innej pożywniejszej paszy. Pieniądze na to wydane opłacą się niezawodnie większą ilością mleka, otrzymanego przy takiem karmieniu.

Znaczenie i korzyści hodowli pszczół.

W jednem z niemieckich pism rozpisuje się niejaki p. Reschke z Torunia o korzyściach z hodowli pszczół. Ponieważ u nas pszczelnictwo mało jest rozpowszechnione, więc pragnąc aby jak najwięcej gospodarzy pszczelnictwem się zajmowało, podajemy tu kilka uwag owego p. Reschke:

Miód pszczelny jest jak wiadomo nader pożywnym i zdrowym dla ludzi pokarmem, a zwłaszcza dla dzieci. Matki powinny dawać dzieciom do mleka nie cukier, lecz miód, a dzieci ich nie będą chorowały na osłabienie i bezkrwistość.

Prócz miodu dają nam pszczoły wosk, który można dobrze spieniężyć. Oprócz tych bezpośrednich wyrobów przynoszą pszczoły duże pośrednie korzyści rolnikom i ogrodnikom, a to przez ułatwienie zawiązywania się owocu w zbożach i w kwiatach owocowych.

Przy zbieraniu miodu przez pszczoły pył kwiatowy luźno w torebkach nasiennych spoczywający wzruszonym zostaje, unosi się w powietrze i dostaje w lepkie blizny słupka kwiatowego, i w roślinie w ten sposób zawiązuje się owoc. Ale i za pośrednictwem własnego ciała pszczoły zarodki z kwiecia na kwiecie przenoszą. Dobroczynny skutek tej czynności pszczół objawia się w obfitszym na sadzie owocu.

Doświadczoną jest rzeczą, że w miejscowościach, w których pszczół nie utrzymują — rośliny jak seradela, tatarka, także biała koniczyna mniej ziarna wydają, aniżeli w okolicach, w których pszczół nie braknie. Pszczoła dalej usuwa a raczej obtrząsa z rzepiku szkodliwe chrząszczyki, w ten sposób rolnikowi do uzyskania lepszego sprzętu dopomaga.

Na stacyach naukowych, które służą badaniu życia pszczół, poczyniono pouczające doświadczenia, które właśnie dowiodły, że pszczoły nasze przy zapładnianiu roślin nader ważną rolę odgrywają. Bo oto pewną przestrzeń roślin, przez owady nawiedzanych, przykryto gazą, tak, że światło i powietrze do

roślin miały wolny przystęp, lecz pszczoły i im pokrewne owady do roślin dostać się nie mogły. I otóż przekonano się, że nie zasłonięte rośliny, które zatem pszczoły swobodnie oblatywały, obsadzone były obfitym owocem, gdy natomiast gazą zasłonięte, posiadały go mało i słabo rozwiniętego.

Podobne spostrzeżenia zrobiono także w sadach owocowych. Reschkiemu skarżył się pewien rolnik, że mimo troskliwej opieki drzewa owocowe jakoś rodzić nie chciały. Reschke uważał, że przyczyną niepomyślnej urodzajności drzew może być brak pszczół, bo nigdzie w okolicy ich nie zauważył. Radził więc owemu gospodarzowi, aby tenże nabył chociaż dwa pnie pszczół. A skutek był znakomity, ponieważ od chwili umieszczenia w sadzie chociaż tej małej ilości pszczół, drzewa bardzo dobrze rodziły, uginały się formalnie pod ciężarem owocu.

W Australii dopiero od zaprowadzenia miododajnej pszczoły, tamtejsze plantacye owocu się podniosły, zaczęły dostarczać na targi światowe wielkie ilości owocu, gdy dawniej drzewa tamtejsze pięknym kwiatem olśniewały, ale nie było dobrego owocu.

Przy końcu wyraża Reschke uznanie dla niemieckiej władzy kolejowej, która podobno rozporządziła, aby na nasypach kolejowych itp. miejscami miododajne rośliny obsadzano względnie je zasiewano. Władza kolejowa zaleca też swym podwładnym, aby pszczelnictwem się zajmowali, — niemniej udziela im władza zapomóg celem odbywania kursów nauki pszczelnictwa lub ułatwienia urządzenia pasiek.

A wreszcie p. Reschke podnosi i tę jeszcze duchową korzyść z zajmowania się pszczołami, a tą jest wewnętrzne zadowolenie, gdy się patrzy na roje pracowitych pszczół. Każdy pasiecznik chętnie przebywa w swojej pasiece, natomiast stroni od karczmy, od niedobrych rozrywek. To też śmiało powiedzieć można, że niemal każdy pszczelarz jest pracowitym, spokojnym, zadowolonym człowiekiem.

Żywopłot.

Żywopłot daje nietylko bardzo trwałe odgraniczenie, ale stanowi także miłą ozdobę dla każdej posiadłości, pomijając milczeniem tę okoliczność, że daje schronisko krociom drobnych śpiewających ptasząt. Na żywopłoty nadają się najlepiej: głóg pospolity, grab, liguster i kwaśnica (berberys), z iglastych sosna i jałowiec. W najnowszych czasach nie używają do żywopłotów kwaśnicy, bo przekonano się, że żyjący na jego liściach grzybek przenosi się wiatrem na żyto i wywołuje chorobę tegoż sporyszem zwaną. Z innych wspomnianych drzew i krzewów w każdym razie pierwszeńswo oddać należy głogowi, chybaby grunt był czysto piaszczysty, bo takiego głóg nie lubi.

Zanim się przystąpi do zakładania żywopłotu trzeba najpierw posiadać sadzonki. Ktoby ich nie chciał kupować musi na grzędzie dosłonecznej zasiać rzędowo nasienie głogu i w takiej szkółce oplewając ją i motykując utrzymywać tak długo, dopóki głóg nie dorośnie do grubości ołówka lub małego palca. Skoro się już ma sadzonki, najlepiej 3 letnie, wyznacza się do sznura pas ziemi, na 90 cm. szeroki, a tak długi, jak długim ma być płot. Ten pas ziemi trzeba skopać na 2 sztychy (50 cm.) głęboko, górną ziemię dać na spód, a dolną na wierzch. Tę górną warstwę trzeba dobrze znawozić kompostem lub przetrawionym obornikiem.

W tak przygotowaną ziemię sadzi się sadzonki, w miesiącu kwietniu. Najlepiej sadzić je w dwóch równoległych rzędach, odległych od siebie na 15 do 30 cm. Sadzonkom w rzędach trzeba dawać odstępy 20 do 25 cm. odległe, a sadzić tak, by nie stały w rzędach naprzeciw siebie, lecz by się mijały. Sadzone mają być prosto, a nie ukośnie. Po zasadzeniu przygniata się ziemię dookoła sadzonek i dobrze podlewa. By jednak sadzonki nie pędziły w górę (w pień), lecz by się od samego dołu bujnie rozkrzewiały, trzeba pienki przyciąć nad ziemią, w wysokości 10 do 15 cm.

W ciągu wzrostu, w pierwszym roku trzeba sadzonki oczyszczać z zielska i polewać, gdy susza panuje. Następnej wiosny ucina się pieńki, a także i te pędy, które z korzenia wyrosły, a tnie się je tuż nad ziemią, przy samej szyi korzeniowej i ziemią przysypuje, przez co nietylko wzmocnią się korzenie, ale wydadzą także obfitsze i silniejsze pędy, a płot stanie się od samego spodu tak gęstym, że nie przeciśnie się przezeń nawet mniejsze zwierzę. W trzecim roku pędów ucinać już nie należy, lecz przeplatać je na krzyż z pędami sadzonek sąsiednich, a stojących w tym samym rzędzie. Splatane pędy związywać łyczkiem, by żądany kierunek utrzymały później na stałe. Takie splatanie trwać powinno przez lat kilka, dopóki płot nie uzyska pożądanej wysokości, a która zwyczajnie wynosi 120 do 150 cm. Po 8 lub 10 latach rozpocznie się strzyżenie płotu, a co uskutecznia się odpowiedniemi nożycami i to najlepiej w miesiącu czerwcu.

Tak wyhodowany żywopłot może trwać przeszło 100 lat, a gdyby się przypadkowo wytworzyły w nim luki, to się je obsadza nowemi sadzonkami. Dopóki żywopłot jest młody trzeba go chronić od zewnątrz płotem zwyczajnym. Kto przeto ma już płot stary, niech już następnej wiosny zasadzi pod nim żywopłot. Sadzonek dostarczy mu każdy handel nasion. Na 100 metrów płotu potrzeba 800 do 1000 sadzonek. Tysiąc sadzonek kosztuje od 8 do 10 koron.

Gdy prosięta nie chcą się chować,

szukać trzeba złego przyczyny w nieodpowiednim wychowie i błędnem żywieniu maciory i prosiąt. Nie ulega zaś wątpliwości, że jak z jednej strony świnie, jeżeli zdrowo się chowają, bardzo mogą się opłacać, tak z drugiej strony — chylanie i zdychanie prosiąt i starszych świń np. z powodu niewłaściwego żywienia, zaraz itp., zyski bardzo obniża, spowodować może nawet wielkie straty. Łatwo sobie wykalkulować, że korzyść inaczej się przedstawia przy utrzymaniu przy życiu i żwawem wyrastaniu wszystkich 10—12 przez maciorę rzuconych prosiąt, niż gdy np. połowa wyzdycha i tylko 5—6 sztuk zdoła się wychować. Koszta utrzymania i żywienia maciory są tak w pierwszym jak w drugim wypadku jednakowe.

Nie każdy gospodarz zdaje sobie sprawę z tego, że koniecznem jest, aby już prośna maciora odpowiednią zdrową karmę otrzymała. Nie można podawać wzdymającej lub kwaśnej paszy, unikać podawania za wiele płynów. Ziemniaki gotowane, buraki, marchew, zielenizna, otóż stosowna pasza, — a z pasz treściwych śrut zbożowy lekko zwilżony, lub ten i ów bez zarzutu makuch.

Doskonałym dodatkiem dla świń prośnych jest pogniecony owies. To samo stosuje się do karmiących macior, których mleko także co do dobroci bardzo bywa zależnem od podawanej karmy. Nic łatwiejszego, jak gdy prosięta ssące niezdrowo odżywianą matkę, nabawią się rozwolnienia; można je nawet na tej pośredniej drodze formalnie zatruć. Podawanie w małej ilości kredy miałkiej bardzo się zaleca.

Koryta utrzymywane być powinnny w największej czystości, bo niebezpieczeństwo grozi tak maciorze jak prosiętom, jeżeli te skwaśniałą paszę spożywają. Pozostałości w korytach prędko się psują, a świeżo w nieczyste koryto zadana karma traci smak i bywa mniej zdrową. Mleko chude także dla macior winno być gotowane, ponieważ bywa nieraz rozsadnikiem zaraźliwych materyi. Odpasanie karmiącej ma-

ciory trzeba tak urządzić, aby prosiątka do karmy się nie dostały, bo karma ta nie jest dla nich odpowiednią.

Często popełnianym błędem bywa zawczesne odsadzanie prosiąt, wskutek czego prosięta słabiej się rozwijają i łatwiej chorobom podlegają. Pozostawianie ich przez 6—8 tygodni przy matce, nie jest wcale za długo. Trzeba naturalnie prosiętom cokolwiek karmy podawać, i to tem więcej, czem więcej maciora ma prosiąt. Już' dwutygodniowym podaje się cokolwiek ziarn pszenicy lub jęczmienia, bacząc, aby prosięta ziarnka spożyły, a nie czasem maciora.

Po ukończonym 3-cim tygodniu podaje się prócz ziarnek cokolwiek wodą rozcieńczonego przegotowanego mleka; zupełnie surowe mleko tylko zaszkodzić może. Ale nawet rozcieńczone i gotowane mleko podaje się z początku w małej ilości, zawsze pamiętając o tem, że biegunka np. wskutek przepojenia itp., jest dla zwierzątek w tym wieku nader niebezpieczną.

Po odsadzeniu prosiąt zastępuje się świeże mleko zbieranem, zawsze przegotowanem i na letnio podawanem. Tak jak szkodliwem jest dostarczać prosiętom za mało karmy, tak i przepasanie w celu przyspieszenia wzrostu, niechybnie by się zemściło. Za mocno pasione mogą się prosięta ładnie dla oka przedstawiać, lecz nie będą w przyszłości dobremi świńmi użytkowemi, nie będą posiadały tej odporności, jakiej wymagać się powinno.

Ruch na świeżem powietrzu np. już dwutygodniowym prosiętom do zdrowia bardzo jest potrzebnym, tak samo prośne maciory potrzebują ruchu dla własnego zdrowia i prawidłowego rozwoju płodu. Świeże powietrze i ruch nader dobroczynnie działają i tego nie można bezkarnie ujmować. Na wolności mają świnie sposobność do pyskania, spożywają zwłaszcza prosięta tak potrzebne mineralne materye. Jeżeli np. w czasie zimy prosiąt na wolność nie można wypuścić, jeżeli zatem nie mają sposobności do pyskania, powinno się raz po raz do chlewa w zagrodę z taczkę suchej ziemi nawieść.

Chlew nie powinien posiadać za zimnej temperatury, a powinien być przewietrzany. Bardzo odpowiednią ma być podłoga z cegieł na kant ułożonych, i cementem wyfugowanych. Ściółki nie trzeba żałować, powinna ona być zawsze suchą i ze zdrowej słomy, ponieważ prosięta mokrości nie znoszą, nabawiając się kaszlu i innych chorób jeszcze.

Grzyb domowy i środki przeciw niemu.

Największym nieprzyjacielem drzewa w budynkach bywa grzyb. Ile to przez niego powstaje nieraz kosztownych i żmudnych reperacyi, ile nieszczęśliwych procesów. Ważnem będzie dlatego dowiedzieć się, zkąd powstaje grzyb i w jaki sposób można go usunąć. W domach wytwarza się grzyb najpierw pod podłogą, pod jej podkładami i pod progami, zwłaszcza, jeżeli na wilgotnej ziemi spoczywają. Także w sklepach z belek pokazuje się często, a drzewo, które nie było dobrze wysuszone przed użyciem do budowy, najwięcej grzybowi sprzyja.

W miejscu, gdzie się grzyb zaczyna tworzyć — spostrzegamy najpierw białe małe punkciki, które zwolna zamieniają się w coraz większe plamy o wełniastej, puszczystej naleciałości, która przybiera postać srebrnawego przędziwa, podobnego do pajęczyny; ściana w tem miejscu staje się mokrą.

To srebrne przędziwo zamienia się szybko w liściowatą, popielatą przeplatankę z połyskiem jedwabiu, powiększa się z coraz większą szybkością, wciska się w najmniejsze szczeliny drzewa, w najcieńsze szpary w murze, w kamieniu, w metalu, także w szczeliny wapna, gliny lub gipsu — wogóle we wszystkie kąciki całej budowy — niszcząc wszystko.

Fizyczne zmiany drzewa, ogarniętego grzybem są następujące: drzewo brunatnieje, niknie i rozpękuje się. Jeżeli nosi wielkie ciężary np. belki, filary, słupy, to pod ciężarem zapadają się; łączące części obluźniają się, gwoździe wypadają. Zniszczone grzybem wilgotne drzewo można krajać, jak masło; zniszczone drzewo suche nie daje się nawet krajać, tylko rozpada się samo na drobne kawałki i można je zetrzeć na proszek.

Mieszkania, gdzie grzyb się rozpostarł, są naturalnie bardzo dla ludzi niezdrowe, a samo powietrze jest zabijającem w takim domu. Środki przeciwko grzybowi są następujące:

Wszystko drzewo, co trąci grzybem, zniszczyć natychmiast, rzucając je w ogień. Ziemię z pod podłogi usunąć i zastąpić suchym piaskiem, żwirem, sproszkowaną cegłą, lub młotowiną. Wszystek nowy materyał budowlany musi być zupełnie suchy i czysty. Te części domu przez grzyb nawiedzonego, które ocalały, ale które miały niejaką styczność ze zarażonem drzewem, należy otynkować rozczynem siarczanego żelaza, lub siarczanu miedzi, z czem się należy obchodzić bardzo ostrożnie. Można też wziąść 3 hl. popiołu torfowego, 20 l. soli kuchennej i 1 hl. salmiaku; dobrać do tego gotującej wody i rozbić wszystko na miazgę i pociągnąć nią mniemane drzewo.

Sprzymierzeniec rolnika.

Myszy polne wyrządzają często olbrzymie szkody rolnikom — jednym zaś z największych wrogów mysiego rodu jest sowa, którą tedy całkiem słusznie uważać powinni rolnicy za swego sprzymierzeńca w walce z myszami.

Na dowód tego przytaczamy tu opowiadanie: Pewien pan otrzymał w podarunku trzy młode sowy, które umieścił w ogrodzie w klatce z rzadkimi szczeblami. Na pożywienie zadawał sowiętom odpadki kuchenne, lecz spostrzegł ku niemałemu zdziwieniu, że pożywienia nie ruszają. W przypuszczeniu, iż sowy za małe mają umieszczenie, wsadził je do wielkiej klatki z gęsto rozmieszczonymi szczeblami, spodziewając się lepszego apetytu u ptaków więzionych.

Zaraz następnej nocy usłyszał wrzask niesłychany w okolicy klatki z sowiętami. Dopiero teraz przekonał się, czem zwierzęta te podczas ostatnich tygodni żywiły się. Wokoło klatki leżało 10 zdechłych myszy: z czego wywnioskować można, że rodzice ptasząt odkryły ich miejsce pobytu w klatce i dostarczyły im co noc myszy przez szerokie odstępy szczeblowe w małej klatce. Po przeniesieniu do wielkiej klatki z wązkimi odstępami nie mogły już stare sowy dostarczać młodym pokarmu mysiego: stąd wytwarzały ów wrzask niesłychany.

Co rano znajdował ów pan 13 do 18 zdechłych myszy przed klatką; w czasie zimnego, dżdżystego powietrza tylko 4 do 6. Pan ten wyrachował, iż te trzy młode sowy w czasie ostatnich tygodni spożyły 300 myszy. Zamierzał on je zabić, lecz po tem, co widział, wypuścił zaraz ptaki na wolność i napisał do pism uwiadomienie o pożyteczności sów.

Różne drobne rady.

Soczewica.

Każdemu prawie, przy wspomnieniu o soczewicy przychodzi na myśl owa historya biblijna opowiadająca, że Ezaw za misę soczewicy zrzekł się praw pierworodztwa na rzecz młodszego brata Jakóba. Roślina ta nie jest tak rozpowszechnioną u nas, jak na to zasługuje: pożywność jej ziarna nie tylko wyrównywa innym strączkowym, ale je przewyższa, gdyż zawiera na tysiąc 250 części białka. Uprawa jej jest bardzo łatwą; lubi ziemię pulchną i żyzną, a ponieważ wrażliwą jest bardzo na przymrozki, sieje się ją dopiero w pierwszych dniach czerwca, a zbiera we dwa miesiące, więc może stanowić przedplon pod pszenicę. Jest bardzo posilna i zdrowa.

Próchnienie pni drzew

pochodzi najczęściej stąd. że przy odpiłowywaniu gałęzi popełnia się błędy. Czasem odejmuje się gałęź za wysoko, tak że pozostaje kikut na kilka i kilkanaście cm. długi, który nie może zarosnąć i schnie, a przez niego dostaje się woda, a z nią zgnilizna do gałęzi i pnia. Jeżeli się zaś odejmie gałąź za nisko, a więc za blisko pnia, to powstaje rana nadto wielka, która również po większej części zarosnąć nie może, co także powoduje gnicie.

Należyte miejsce, w którem powinno się gałąź odejmować, jest tuż nad pierścieniowatem zgrubieniem, znajdującem się u nasady każdej gałęzi. Od pierścienia tego zabliźnia się rana bardzo szybko. Z pustemi wypróchniałemi gałęziami i pniami postępuje się w następujący sposób: Usunąwszy próchno aż do zdrowego drewna, zamyka się małe otwory czopem; jeżeli zaś próżnia jest wielka, wypełnia się ją kamieniami i zasklepia cementem.

Sposób oduczenia psów od uganiania za kurami.

Jeden z hodowców drobiu we Francyi zaleca jako najlepszy sposób szybkiego oduczenia psów od ścigania kur, uwiązanie nieżywej kury do szyi psa, który po takiej próbie z pewnością nietylko zaprzestanie rozpędzać kury, ale będzie się starał o ile możności ich unikać.

Sadzenie olszy.

Na ziemiach bardzo mokrych (trzęsawiskach), na których rosną tylko sity, szuwar i inne rośliny błotne, można z korzyścią zasadzić olszę bagienną. Do tej czynności najlepszą porą będzie jesień, gdyż na wiosnę z powodu długostojącej wody, dostęp do takich gruntów bywa zwykle utrudniony, a także i z tego powodu, że w wykopanych dołkach zbiera się zaraz woda. Sadzonki sadzi się rzędowo, w odstępach dwu metrów rzęd od rzędu. Mniejsze sadzonki można sadzić w otwory robione kołkiem, starsze w dołki kopane łopatą.

Pranie pierza.

Jeśli pierze jest długo używane lub kupione i niepewnej czystości, nie jest zdrowo ani miło spać na takiej pościeli. Aby temu zapobiedz, najlepiej wyprać je w następujący sposób: Wsypać pierze w worek z rzadkiego płótna, przesypując garstką skrobanego mydła; w kotle zaś dużym rozgotowawszy miękką wodę z mydłem, aż woda zbieleje, włożyć w nią worek i gotować przez godzinę lub półtorej, często podczas gotowania przewracając i ugniatając tępą kopyścią. Potem wyjąć i wyłożyć na dużą balię, wannę lub korytko, nalać czystej, miękkiej wody, worek z pierzem wygniatać, wodę zmieniać, aż będzie zupełnie czysta. Wtedy wysypać pierze z worka na prześcieradło i w suchem miejscu zupełnie wysuszyć. Włożyć potem w suchą i czystą beczkę o jednem dnie, roztrzepać kijem, przebrać i nałożyć w poduszki. Będzie jak świeże.

Czem buty smarować?

Najczęściej do smarowania obuwia używają tranu. Jest to atoli prawie najgorszy środek, bo podobnie jak olej lniany, ma tran własności wysuszające. Tran wpija się w skórę zaledwo na dzień, potem obuwie stanie się twarde i pęka.

Najlepszem smarowidłem na obuwie jest wyrabiana z wełny zwierzęcej lanolina i żółta wazelina. Oba tłuszcze trzeba tylko szmatką rozetrzeć, a w kilka minut wpijają się zupełnie w skórę, która następnie przez długi czas zostanie giętką. Tłuszcze te są trochę droższe od tranu, ale trzeba ich mniej, skutkują lepiej, nie czuć ich nic i nie szkodzą choćby najdelikatniejszej skórze. Gdyby kto nie chciał wydawać pieniędzy na zakupno wspomnianych tłuszczów, niech smaruje buty niesłonym smalcem wieprzowym, a będzie je miał również miękkie i nieprzemakalne.

Przeciw ukąszeniom pszczół.

Jeden właściciel pasieki doszedł przypadkowo do odkrycia, że sok liści chrzanu posiada własność uśmierzenia bólu, powstałego wskutek ukąszenia pszczół. Prosty ten środek znakomite oddaje usługi przez nacieranie świeżymi liśćmi, jako też wyciśniętym z nich i przechowanym sokiem. Jest on także pomocny w razie poparzenia, lub też opuchnięcia ciała, osłabia zapalenia u ludzi i zwierząt i t. p.

Dysenterya drobiu.

Dysenterya powstaje często wskutek używania przez drób zbyt zimnej wody, ze spożywania wczesnym rankiem trawy, pokrytej szronem, lub zimną rosą, oraz ze skwaśniałych pokarmów. Dysenterya objawia się w czystych wypróżnieniach, które mają wygląd odmienny. Jeżeli nie zapobiedz chorobie, wówczas apetyt ustaje, a powiększa się pragnienie w połączeniu z zapaleniem żołądka, poczem następuje zwykle śmierć.

Zapobiedz wzmożeniu się choroby można przez pojenie wodą przegotowaną i ostudzoną, oraz dojrzałem, zdrowem ziarnem. Chore ptactwo trzeba trzymać w ciepłym kurniku na ciepłej podłodze o miękkim podściole, np. na plewach. Dobrymi środkami przeciw rozwolnieniu są: prażony jęczmień, gotowana hreczana kasza, do których dobrze jest dodawać nieco mielonej kredy. Poleca się również napoje z przecedzonej kaszy owsianej, lub słaby odwar siemienia lnianego. Można też dawać korzeń z tataraku jako odwar z jednej części tataraku na 20 części wody; płyn tego rodzaju zadaje się trzy do sześciu razy dziennie, zależnie od wieku chorej sztuki, od 1—3 łyżek stołowych za każdym razem.

Przeciw mrówkom.

Mrówki w domowem gospodarstwie są niepożądanymi gośćmi, sprowadzają bowiem niekiedy poważne szkody. Jeżeli mrówki założą swoje mrowisko pod korzeniami drzew owocowych, wówczas drzewo usycha; dość wtedy jest odkopać korzenie i całe mrowisko zasypać popiołem drzewnym, mrówki wtenczas wynoszą się stąd zupełnie, a popiół dla drzewa szkodliwym nie jest.

Jeżeli podstawy uli obsypiemy popiołem, wówczas można być pewnym, że mrówki do ula się nie dostaną. Jeżeli już dostały się do ula, to tymże popiołem je stamtąd można wypędzić. Pamiętać tylko trzeba, aby popiół drzewny był świeży, gdyż tylko taki posiada własności, których mrówki nie znoszą; o ile zaś był przez dłuższy czas wietrzony lub rozpuszczany w wodzie na ług, wówczas traci owe przeciwne mrówkom własności.

Jak dawać koniom płynne lekarstwo?

Lekarstwa płynne najlepiej zadawać z butelki; pysk podnieść do góry, wyciągnąć język na bok, poczem wlewać w gardło po trochu i za każdym razem język należy puścić, aby koń mógł połknąć. Kiedy już wszystko lekarstwo zadane, łeb należy jeszcze chwilę trzymać wysoko, aby koń ostatecznie wszystko połknął.

Okrywanie koni derkami.

Niektórzy właściciele koni sądzą, że wyświadczają im wielką przysługę, nakrywając je derami podczas pracy. Ostrożność ta zupełnie zbyteczna, ponieważ konie podczas pracy mają przyśpieszone krążenie krwi, a wskutek tego zaziębieniom nie podlegają. Niebezpieczeństwo zachodzi niewątpliwie wtedy, gdy koń zmęczony robotą, odpoczywa w jakiem chłodnem, wystawionem na powiew wiatru miejscu, wtedy to należy okryć go derą, przyczem nie jest obojętną rzeczą materyał, z jakiego ta dera zrobiona; biały miękki filc jest najlepszy.

Forma dery powinna być o ile możności taka, aby przykrywała całego konia.

Aby zapobiedz spadaniu dery na ziemię, co w miejscach na wiatr wystawionych jest nieuchronnem, należy przy oby-

dwóch przednich rogach dery przyszyć sprzączki i za pomocą nich przytwierdzić derę na piersiach. Dotychczas używane dery na tym właśnie punkcie są nieodpowiednie, pokrywając bowiem plecy i kark, zupełnie nie chronią piersi. Stąd też pochodzi tak częste zapalenie płuc u koni, które przy robocie odpoczywały w wystawionych na chłód i wiatr miejscach.

Pasza z kości mielonych.

Kości mielone są ptactwu potrzebne, a przynajmniej dodawanie mielonych kości do paszy wpływa w wysokim stopniu korzystnie na podniesienie niesności, na lepszy rozwój i na zdrowie ptactwa. Tak np. doświadczono, że kury taką paszą z przymieszką kości mielonych żywione, przez całą zimę dobrze się niosły, jeżeli naturalnie pochodziły z wczesnego wylęgu, bo z późnego wylęgu nie będzie nigdy pociechy.

W Anglii i w Ameryce dawno już spostrzeżono, że np. z dwu gromad po 20 młodych kaczek, kaczki pasione mielonemi kośćmi z małą przymieszką owsa i ziemniaków, przybrały aż do $4^1/_2$ funta w tym samym czasie, w którym kaczki pasione jęczmieniem i kukurydzą, przecięciowo tylko 2 funty ważyły. Pasza z kości powinna być miękką i puszystą, bo w takim stanie kury najlepiej ją trawią.

Czyszczenie racic u bydła.

Od czasu do czasu gospodarz winien obejrzeć racice u bydła, aby się przekonać, czy nie utworzyły się przy nich jakie nieprawidłowości, któreby zwierzętom przeszkadzały stać i chodzić. Bywa często, że ściany boczne racicy wystają ponad brzeg stopy, tam gdzie się gromadzi brud, śmiecie, często drobne kamienie. Sprowadza to zwierzętom dotkliwy ból. U krów, które chorowały na zarazę pyska i racic, zauważyć można dwie podeszwy, pomiędzy które wciska się ziemia i kaleczy bydlę.

W obydwóch wypadkach łatwo sobie dać radę — w pierwszych trzeba obcęgami wystające brzegi racic usunąć, gdzie zaś jest dwie podeszwy, należy starą obciąć, wówczas nowa podeszwa zgrubieje i stan chorobliwy minie.

Figle i żarty.

WSTYDLIWY.

— Znowu upiłeś się Janie, czy już nie wstydzisz się nawet samego siebie?

Jan: — Siebie samego się nie wstydzę, bo się nie widzę, gdyż pijąc zamykam oczy.

GOSPODARZ I PAROBEK.

Parobek: — Czegoż mnie bijecie, przecie ja wam nic nie robię!

Gospodarz: — Dlatego cię właśnie biję, żeś próżniak i nic nie robisz!

DOWCIPNY.

— *Matka*: Jasiu, przestań kotka ciągnąć za ogon.

— *Jaś*: Ja go nie ciągnę mamusiu! ja tylko trzymam kotka — a on mnie ciągnie!

DBAŁY O SWOJE.

— *Żona*. Miałeś wypić tylko jeden kufel piwa i zaraz wrócić do domu, a ty przychodzisz nad ranem.

— *Mąż*: Nie moja wina, szynkarz nie miał mi wydać reszty z 5 koron, musiałem więc odpić swoje pieniądze.

W SĄDZIE.

Sędzia. No! w tym miesiącu miałeś dobre czasy...

Oskarżony (nałogowy złodziej). Niech sobie pan sędzia nie myśli, żem znowu robił takie świetne interesy... Pięć wytrychów mi się połamało... musiałem nowe kupować...

W SZKOLE.

Profesor: Gdzie leży Australia?

Bawolski: A no... ja myślę, że tam gdzie leżała...

ŻART PAŃSKI.

Król Zygmunt, grając flusa, iż mu przyszły dwa króle, powiedział, że ma trzy króle; kiedy go gracze pytali: A trzeci gdzie?

— A to ja, powiada, trzeci — i wziął grę.

(Z pism Kochanowskiego.)

SŁUSZNY WNIOSEK.

— Kaci tam wiedzą, skąd to pochodzi, że człowiek nie może wcale wyjść z tych kłopotów pieniężnych! mówi ojciec do siebie.

— A co trzeba zrobić, żeby mieć pieniądze? pyta pięcioletni synek.

— Jeżeli będziesz pilnym, porządnym i wiele się nauczysz, to też wiele zarobisz pieniędzy, poucza go ojciec.

— Aha! powiada chłopiec, toś ty, tato, zapewno nie był pilnym i porządnym, i wiele się nie nauczyłeś?

W GOSPODZIE.

Podróżny: Ile za nocleg się płaci?

Gospodarz: Czterdzieście groszy.

Podróżny: Ja mam tylko 30. Każ więc pan za te 10 groszy wcześniej mnie obudzić!

SPIS RZECZY
w trzecim roczniku „NASZEJ SKARBNICY“.